



JENNIFER

GREENE

Ślub po latach

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Szanowni Państwo, numer 17 na naszej liście. Komoda z 1750 roku. Mahoń i biała sosna. Przepiękna robota. Zwracam uwagę państwa na oryginalne okucia i skrytkę na kosztowności. Najwyższej klasy rzemiosło! Doprawdy, bezcenne. Cena wywoławcza jest zdecydowanie za niska, zaledwie pięćset...

Jak na tego typu aukcję zebrało się sporo ludzi. Ręce wystrzeliły do góry, zachęczone ceną albo siłą przekonywania osoby prowadzącej aukcję. Jej szef mówił czasem, że Stephanie jest mistrzynią w sztuce naciągania. Oburzyła się, a jednak musiała przyznać, że jest w tym odrobina prawdy. Oszustwo - nigdy, Stephanie zdawała sobie jednak sprawę z uroku kuszenia. Potrafiła przekonać ludzi, że to, co sprzedaje, jest jedyne w swoim rodzaju i godne pożądaniam. Przekonywała szczerym blaskiem błękitnych oczu, lekko schrypniętym głosem i obietnicą ukrytą na dnie uśmiechu.

Tak przynajmniej zwykle bywało. Tego dnia aukcja ciągnęła się w nieskończoność. Nic nie szło po jej myśli. George za chwilę, po raz kolejny, dał jej sygnał, machając kartką.

- Sprzedane! - Stephanie z wdziękiem uderzyła młotkiem po raz trzeci, przesłała wspaniały gratulacyjny uśmiech szczęśliwemu nabywcy i szybko podeszła do szefa.

George był łysym facetem koło sześćdziesiątki.

Wyglądał na przedsiębiorcę pogrzebowego, był fanatykiem skuteczności i w razie potrzeby gotów skrócić kark przeciwnikowi.

- O co chodzi? - spytała cicho wyciągając rękę po skrawek papieru.

- Weź się w garść, Stephanie.

Uśmiechnęła się, walcząc z pokusą poklepania go po łysinie.

- Cóż to, kolejny kaprys... nic nowego, odkąd zajmujemy się tą posiadłością... - powiedziała. Nagle zbladła jak ściana. Przeczytała kartkę. Na ułamek sekundy sparaliżował ją strach.

- Gospośia nie mogła cię złapać w biurze, zadzwoniła więc na policję. Nie wpadaj w panikę, Stephanie. Nie wiadomo, czy wypadek był groźny. Zabrali go do szpitala.

Natychmiast przekazała listę przedmiotów wystawionych na aukcję George'owi, odszukała telefon do szpitala, zadzwoniła tam, przedarła się przez tłum i wyprowadziła samochód z parkingu zastawionego BMW i mercedesami. Wreszcie wyjechała na główną szosę. Wszystko razem zajęło jej dziesięć minut. Była o godzinę drogi od Hanoveru. Od domu i czternastoletniego syna. W piątek o trzeciej po południu powinien właśnie wracać ze szkoły, a nie leżeć w szpitalu. Dlaczego właśnie Jeffa musiało coś tak okropnego spotkać?

Gdy rozmawiała ze szpitalem przez telefon, nie mogli, czy też nie chcieli, nic jej powiedzieć, ponad to, że zajmują się chłopcem i że starali się skontaktować i z nią, i z ojcem Jeffa. Przecież Alex mieszka w Nowym Jorku! Zapomniała, że parę miesięcy temu wrócił do Bostonu.

Jak oszalała wyprzedzała kolejne samochody na zatłoczonej szosie, nie zdejmując nogi z gazu. Była tak zdenerwowana, że żołądek podchodził jej do gardła. Coś złego dzieje się z Jeffem, a ona w żaden sposób nie może mu pomóc. To musi być jakaś pomyłka. Wystarczy się tylko rozejrzeć... Liście zaczynają żółknąć. Jest leniwy, jesienny dzień. Słońce zachodzi.

Przejechała most na rzece Connecticut, tak jak tysiące razy. Wszystko było takie normalne. Jak mogło coś złego przytrafić się Jeffowi?

Stephanie zaparkowała tuż pod znakiem zakazu, przed samymi drzwiami pogotowia. Wiedziała, że ryzykuje wywiezienie samochodu. Mogą go sobie zabrać. Mogą go zatrzymać na zawsze. Byle tylko Jeff był cały i zdrowy!

W recepcji siedziała młoda, stremowana pielęgniarka. W kolejce przed Stephanie stał jeszcze staruszek z zabandażowaną ręką i przerażona matka z wrzeszczącym niemowlęciem. Gdy przyszła kolej Stephanie, w oczach recepcjonistki pojawiła się wyraźna ulga. Jednym spojrzeniem oceniła, że ta młoda, urocza kobieta nie jest typem histeryczki.

Stephanie zdawała sobie sprawę, że ludzie tak ją właśnie odbierają. Wspaniałe włosy zaplecione we francuski warkocz. Nieskazitelny kostium z lnu w kolorze koralu. Rzymski profil przypominający antyczną rzeźbę. Jej twarz, gdy tylko chciała, pozostawała bez wyrazu, nie ujawniała żadnych uczuć.

W żołądku czuła chłód, nikt jednak nie poznałby tego po jej głosie. Był cichy i opanowany.

- Nazywam się Carson. Jest tutaj mój syn, Jeff. Powiedziano mi, że został przywieziony...

- Tak - siostra sprawdziła w rejestrze. - Niestety, teraz jest u niego lekarz...

- Czy mogę go zobaczyć?

- Oczywiście. Natychmiast po zakończeniu badania. Przykro mi, ale to może jeszcze trochę potrwać.

Stephanie zacisnęła pięść, aż paznokcie wbiły jej się w dłoń. Trochę potrwać? Co miało potrwać jeszcze trochę? Zrobiło jej się tak słabo, że ledwie mogła wydobyć głos z zaciśniętego gardła.

- Czy może mi pani powiedzieć, co się właściwie stało? Czy jest ciężko ranny? Jak...

- Naprawdę, pani Carson... lekarz za chwilę panią przyjmie. Mieliliśmy jeszcze kilka innych wypadków...

W poczekalni Stephanie stanęła tuż koło drzwi, przez które musiał wyjść doktor. Minęło dziesięć nieznośnie długich minut. Tysiące obrazów przemknęło jej przez głowę. Jak pierwszy raz odprowadziła Jeffa do przedszkola i wypłakiwała oczy, kiedy już zamknęły się za nim drzwi. Jak po raz pierwszy miał podbite

oko, bo wdał się w bójkę z siedmiolatka z naprzeciwka. Stephanie musiała go wtedy kryć. Miał sześć lat. Chojrak - jak jego ojciec. Te same ciemne oczy i uśmiech niewiniątka. Oczywiście, wiedział doskonale, że nie bije się dziewczynek, ale ta nazwała go mądralą.

Fale mdłości powracały jak na karuzeli. Serce Stephanie na chwilę przestawało bić za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi. Ciągle miała w uszach głos Jeffa. Wysoki, to znów niski z powodu mutacji. Nieraz zdarzało mu się trzaskać drzwiami w przypływie złego humoru, a kiedy miała ochotę go przytulić, coraz częściej słyszała to okropne: „Daj spokój, mamó”.

Lodowatymi palcami dotknęła skroni.

Nagle podniosła głowę. Serce zabiło jej mocniej. Mężczyzna, który wpadł do poczekalni, miał na sobie dżinsy, ciężkie robocze buty i znoszoną ciemną koszulę. Wyglądał, jakby właśnie wylazł z kanału w warsztacie samochodowym i najpewniej tak właśnie było. Ale nawet gdyby wystroił się w ciemny garnitur i koszulę ze sztywnym gorsem i tak zdradziłyby go gęste, ciemne włosy - jak zwykle zmierzwiłone. Na koszuli na pewno miałby jakąś plamę. Życie lgnęło do Alexa.

W wieku siedemnastu lat była zafascynowana jego rękami umazanymi smarem. Alex bardzo się jej podobał. To był prawdziwy, zmysłowy mężczyzna, który żył z pracy rąk, zawsze był roześmiany i świetnie bawił się w życiu.

Przez czternaście lat niewiele się zmienił. Nie był zbyt wysoki, ale za to dobrze zbudowany. Miał mocne ramiona, siłę w spojrzeniu czarnych oczu i ogorzałą, szczerą twarz. Jego włosy, jak zawsze, wyglądały, jakby je cesał palcami. Stephanie znowu pomyślała, że Alex jest skrzyżowaniem pioruna z dynamitem. Omiótł spojrzeniem pokój i zatrzymał wzrok na niej.

Podeszła bez wahania. Kiedyś powiedział jej, że nigdy nie będą mogli zostać przyjaciółmi. Jak w wielu innych sprawach - i tym razem się pomylił. W ciągu czternastu lat osiągnęła to, że stali się parą kulturalnych znajomych. Kobieta

może czasem zrezygnować z uczciwości, ale nigdy - z dumy. Alexowi nie wypadało urządzać awantury, kiedy ona stale się uśmiechała. Dzisiaj już nikt by się nie domyślił, że kiedyś kłócili się bez przerwy.

Patrząc na Stephanie, trudno było przypuścić, że jest zdolna z kimkolwiek się kłócić. Uczono ją dobrych manier, a nie wszczynania karczemnych awantur. Ale też nikt poza Alexem nie potrafił doprowadzić jej do takiej furii, że rzucała czym popadło, jak rozwścieczony dzieciak. Nikt też poza nim nie potrafił zaciągnąć jej do łóżka przy pierwszym spotkaniu.

Jak mogła być aż tak głupia mając siedemnaście lat! Teraz jest znacznie starsza i dojrzała, a jednak przez krótką chwilę z trudem udało jej się zachować uprzejmy uśmiech kulturalnej rozwódki.

Alex wyglądał na równie zdenerwowanego.

Całe wieki temu poczęli dziecko i teraz przez ułamek sekundy miała wrażenie, że misternie uporządkowana konstrukcja jej uczuć jest jak domek z kart. Wiedziała, że jeśli ich małżeństwo przypominało kiepski melodramat, to dla Jeffa Alex gotów był poruszyć niebo i ziemię.

Kiedyś wierzyła, że gotów był zrobić to samo dla niej. Teraz uczucie chłodu w żołądku jak gdyby się zmniejszyło. Z wielkim wysiłkiem starała się trzymać fason. Alex bezwzględnie oszacował ją od stóp do głów, zanim ruszył w jej stronę. Z przyjemnością wdychał delikatny zapach jej perfum, podziwiał doskonałą cerę. Kostium w kolorze koralu znakomicie podkreślał wszystkie zalety jej sylwetki, zgrabne nogi, delikatny owal twarzy. To była klasa. Ta kobieta piękniała z roku na rok. Pielęgnowała własną doskonałość, a to sprawiało, że musiał zrobić coś gwałtownego. Mógłby zburzyć jej fryzurę albo na nią nawrzeszczyć. Chciałby pobrudzić jej ręce, a najchętniej zaciągnąć do łóżka. Szybko i porywczo. I zerwać z niej tę całą doskonałość. Tak jak kiedyś.

Pewnego dnia uda mu się w jej obecności zachować obojętność. Jego gniew był równie silny jak wspomnienia. Patrząc na nią, poczuł tęsknotę za tamtym dniem, kiedy

poczęli syna. Nie nabrał się na dumnie uniesioną brodę. Znał ją zbyt dobrze. Widział, jak się trzyma i że za wszelką cenę stara się nad sobą panować. Zauważył też, jak jej szczupła dłoń w nieuchwytnym geście dotyka brzucha. Stephanie zbierało się na wymioty. Chwycił ją za ramię i zaprowadził w ustronny kąt poczekalni.

- W porządku? Czy jest bardzo źle? Otrząsnęła się z silnego uścisku, ale jej wargi nagle

zadrżały. Trzymała się świetnie, dopóki tu nie wszedł.

- Nie wiem, Alex! Nic mi nie chcą powiedzieć. Musieli go tu przywieźć na długo przed moim przyjazdem...

- Zaczekaj i usiądź, na litość boską!

Nie mogła siedzieć. Nie mogła nawet spokojnie oddychać. Kilka metrów dalej pielęgniarka podniosła wzrok, gdy Alex pochylił się nad jej biurkiem. Stephanie obserwowała, jak dziewczyna z początku przecząco potrząsa głową i jak stopniowo jej twarz rozjaśnia przymilny uśmiech. Alex tak bardzo przypominał Jeffa. Szelmowski uśmiech polującego samca.

Stephanie było dokładnie wszystko jedno, czy Alex za chwilę uwiedzie pielęgniarkę na środku pokrytej linoleum podłogi korytarza, byle tylko szybko przyniósł jej jakieś wiadomości.

- Jeszcze tylko parę minut. Przed nim były jeszcze trzy osoby z wypadku. Boże, wygląda na to, że to wystarczy, aby cały szpital przewrócić do góry nogami. Ważne, że najpierw zajmują się ciężkimi przypadkami. Więc z Jeffem nie jest najgorzej. Jest potłuczony. W najgorszym razie - złamanie nogi.

- Złamanie!

Znowu położył jej ręce na ramionach, delikatnie popychając z powrotem na krzesło.

- Złamana noga to jeszcze nie koniec świata. Uspokój się.

- Jestem spokojna - rzuciła. Wszyscy w poczekalni mogliby to potwierdzić. Tak, była całkowicie spokojna i opanowana. - Ale nie rozumiem, dlaczego nie mogę go zobaczyć...

Nie mogła, bo jak mu powiedziała pielęgniarka, Jeff nie wyglądał najlepiej, kiedy go tu przywieziono, ale tego Alex nie miał zamiaru jej powtarzać. Ciężko opadł na krzesło obok, ciągle mając przed oczyma obrazy, które pragnął wymazać z pamięci.

Milczeli oboje. Stephanie patrzyła przed siebie.

- Pewnie uważasz, że to moja wina - powiedziała półgłosem. - Boja... ja też tak myślę. Powinnam była być w domu. Alex, zawsze jestem w domu, kiedy on wraca ze szkoły...

- Wypadek - to nie jest niczyja wina.

- Nie powinnam była mu nigdy pozwolić jeździć do szkoły na rowerze...

- Nie przesadzaj, to spokojne miasto. Nie ma nic złego w tym, że jeździ na rowerze.

- A jednak jest.

- Nie bądź głupia, Boston - powiedział łagodnie Alex.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz zamknęła z powrotem. Nikt nie nazywał jej w ten sposób od czternastu lat. To Alex nazwał ją swoim Braminem z Bostonu i okropnie ją to drażniło.

- Język ci się nie poprawił - powiedziała cierpko.

- I pewnie nigdy już się nie poprawi - rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Już lepiej? - spytał, przyglądając się jej dokładnie.

- W porządku.

- Pamiętam tamtego kota.

Ona też pamiętała poranionego biedaka, którego przyniosła do domu i którego nie udało się już uratować. Alex wrócił z pracy, a ona musiała biec do łazienki. Alex oczywiście musiał jej przypomnieć to okropne przeżycie.

- To było dawno - nagle nie była w stanie przełknąć śliny. - Alex, a jeśli on...?

- Nie. Najgorsze już mamy za sobą - powiedział stanowczo.

- Nie wiadomo. Alex westchnął.

- Czy pomogłaby ci filiżanka kawy?

To był błąd i Alex natychmiast przeklął chwilę, w której to powiedział. Powinien był wiedzieć. Kiedy jej twarz zrobiła się kredowo biała, podniósł ją z krzesła, odszukał wzrokiem właściwe drzwi i popchnął Stephanie w ich stronę. Na szczęście toaleta była pusta. Stephanie postanowiła wyzwolić się z uścisku Alexa i nie wymiotować. To pierwsze okazało się łatwiejsze. Wywinęła się na tyle sprawnie, że zdążyła wskoczyć do kabiny i zatrzasnąć drzwi.

Czuła bezsilność. Jeff cierpi, a ona nie może mu pomóc. Był też strach i poczucie winy, że jednak powinna coś zrobić, a tymczasem jest tutaj.

- Steph?

- Proszę cię, odejdz. Czuję się świetnie. Wspaniale. Dowiedz się, co z Jeffem.

Nie odszedł jednak. Wyprostowała się i oparła o drzwi kabiny. Zaciskając powieki przemogła lodowate dreszcze. Czułaby się o wiele lepiej, gdyby za drzwiami był ktokolwiek tylko nie były mąż.

- A teraz wylaż - powiedział tonem, który oznaczał „nie myśl sobie, że nie mogę wywalić tych drzwi”.

Do diabła z tym facetem! Odsunęła zasuwkę i wyszła na miękkich nogach, ale z dumnie uniesioną głową.

- Przecież to jest damska toaleta.

Nie znał innej kobiety, która bardziej zasługiwałaby na codzienne baty. Alex spojrzał na nią wściekle. Do furii doprowadzała go jej bladość, jej głupia duma, jej uniesiona głowa, kiedy jednocześnie dygotała tak, że ledwo mogła utrzymać się na nogach. Zapomniał już, jak potrafiła go wyprowadzić z równowagi.

Pielęgniarka zajrzała do łazienki. Wyglądała na wzburzoną.

- Powiedziano mi... Pani Carson, tak mi przykro. Nie miałam pojęcia, że pani źle się czuje.

Zerkała to na Stephanie, to na Alexa zdziwiona, tak jak każdy, kto widział ich razem. Połatanе dżinsy zazwyczaj nie chodzą w parze z kostiumem z ekskluzywnego domu mody, a zapach perfum L'Air du Temps na ogół nie miesza się z wonią smaru.

Odchrząknęła, patrząc na nich niepewnie.

- Pani Carson, może odwieźć panią do domu?

- Nie radziłbym tego, jeśli pani życie miłe - powiedział słodko Alex.

Pielęgniarka uśmiechnęła się, pewna, że żartuje. Ale to wcale nie był dowcip. Ta panienka w czepku nie znała Stephanie tak dobrze jak Alex. Może i wyglądała jak krucha porcelanowa figurka, ale była w stanie uśmiercić każdego, kto spróbowałby rozdzielić ją z synem. Ta myśl rozbawiła Alexa na ułamek sekundy, ale Stephanie naprawdę wyglądała okropnie.

- Ja się zajmę panią Carson - zapewnił pielęgniarkę. Wyszła po chwili, a Stephanie odwróciła się plecami do Alexa, położyła torebkę na brzegu umywalki i zwilżyła skronie zimną wodą. Pomogło. Przynajmniej do chwili, gdy Alex wziął jej torebkę i zaczął w niej grzebać. Błysnęły mu oczy, kiedy podawał Stephanie szczoteczkę do zębów.

- Wiedziałem. Zawsze nosiłaś ze sobą. Wyrwała mu i torebkę, i szczoteczkę. Zmusiła się, by poczuć się lepiej. Przenigdy już przy nim nie zachoruje.

- Czuję się doskonale. Możesz już iść - powiedziała cierpko i odwróciła głowę, żeby nie patrzył, jak myje zęby.

Alex zdawał sobie sprawę, że ją denerwuje. W jej eleganckim świecie gentleman uprzejmie pozwoliłby jej samotnie doczołgać się do kibla, spokojnie zwymiotować i zostawiłby ją własnemu losowi. W przeciwnym razie byłaby zażenowana, a to zbrodnia nie do wybaczenia w jej świecie. Nie tęsknił do tego świata przez całe czternaście lat.

- Okazywanie ludzkich odruchów nie jest zbrodnią, Boston. Kiedy się wreszcie tego nauczysz?

- Przestań mnie tak nazywać.

- Umaluj usta i przestań prychać jak mokra kotka. Przy mnie już chorowałaś. Raz więcej, raz mniej - żadna różnica.

Żadna. Ogromna różnica. Sama już nie wiedziała. Wrzuciła szminkę, szczoteczkę do zębów i -grzebień z powrotem do torebki i podniosła wzrok. Zamierzała powiedzieć coś błyskotliwie złośliwego. Ale jakoś jej nie wyszło. Fizyczna bliskość Alexa, blask jego czarnych oczu sprawiły, że powiedziała nieswoim głosem.

- Alex, chcę, żeby mi oddali Jeffa... - i poczuła, że łyż dławia ją w gardle. - Już teraz. Gwiżdżę na przepisy. Nie obchodzi mnie, jak on wygląda, muszę go zaraz zobaczyć. Proszę cię, zrób coś...

Stary, dawno zapomniany ból powrócił. Alex zacisnął zęby.

- Załatwione, Boston. Zobaczysz go. I to zaraz. Pielęgniarka znowu prosiła o cierpliwość. Alex,

dowiedziawszy się, że Jeffowi zrobiono już prześwietlenie, nie dał się spławić.

Był obok Stephanie, gdy przez podwójne drzwi weszli do gabinetu. Szła niepewnie, nerwowo rozglądając się dokoła. Objął ją uspokajająco i czuł, że drżała. W momencie, gdy znaleźli się za drzwiami pokoju Jeffa, zmieniła się nie do poznania. Stała pewnie, oczy jej błyszczały, uśmiechała się. Kiedy pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała syna, jej głos zabrzmiał łagodnie i kojąco.

- Znalazłeś świetny sposób, żeby się wymigać od lekcji - powiedziała z lekką wymówką.

Chociaż stan Jeffa zdenerwował ją, nie rzuciła się na niego, nie wylewała nad nim łez. Jeff nie potrzebował teraz zrozpaczonej matki, która opłakiwałaby jego rany. Potrzebował matki, która raczej panowałaby nad sytuacją. Kiedy go wreszcie zobaczyła, odzyskała spokój.

- O rany, mamó. Bałem się, że będziesz się zamartwiać. Ciągłe im mówiłem, żeby ktoś poszedł cię uspokoić. Tata!

Alex pochylił się i zburzył włosy syna. W gardle czuł lodowatą kulę. Kiedy Stephanie odzyskała zimną krew, on z trudem panował nad sobą. Twarz Jeffa przypominała kolor gipsu na jego nodze. Miał rozciętą skórę na czole, podbite prawe oko i krwawe plamy na piersi. Alex nigdy więcej nie chciałby oglądać go w takim stanie.

- Bardzo boli? - zapytał szorstko.

- E, tam - Jeff uśmiechnął się. - Jestem twardy... tak jak ty - chciał dodać. - Nic złego nie zrobiłem. Zatrzymałem się na światłach, a ten facet po prostu na mnie wjechał. Policja mówi, że był pijany jak bela. W biały dzień! Rower jest do niczego...

- Kupimy nowy - przyrzekł Alex.

- Nowy? Z dziesięcioma biegami? - w oczach Jeffa błysnął szelmowski uśmiech.

Stephanie wysłuchiwała szczegółowego opisu owego roweru i dokładnego sprawozdania z procesu zakładania gipsu. Ani na moment nie przestawała uśmiechać się do syna. Za jej plecami pojawił się doktor. Wsłuchiwała się w jego odpowiedzi na nie kończącą się serię pytań Jeffa: jedna noc w szpitalu, tydzień w łóżku, proste złamanie, zadrapania zagoją się, opuchlizna, kule...

Zostali jeszcze z Jeffem, kiedy zawieziono go na oddział i umieszczono jego nogę na wyciągu, gdy przyniesiono mu telewizor i zimne napoje, i kiedy podano kolację. Do chwili pojawienia się pielęgniarki z usypiającym zastrzykiem, Stephanie na krok nie ruszyła się z krzesła przy łóżku syna, a kiedy ta śmiała powiedzieć, że czas wizyt już minął - rzuciła na nią mordercze spojrzenie. Alex ujął ją za rękę. Ich palce mocno splotły się ze sobą.

- Dobra, stary, musisz teraz odpocząć, a i twojej matce przydałaby się kolacja. Z samego rana przyjedziemy cię stąd

- Ja go tak nie zostawię - Stephanie zwróciła się do Alexa, gdy wyszli na korytarz.

- Jest wyczerpany. Nie zaśnie, jeżeli nie wyjdziemy. A ty na pewno nie miałaś nic w ustach od samego rana.

- Nigdy jeszcze nie był sam w szpitalu...

- Nie ma sześciu lat. Będzie się bardzo wstydził, jak go tak będziesz niańczyć.

- Wcale go nie niańczy.

Alex przyjrzał jej się uważnie, potem spostrzegł, że ciągle ściska jej rękę. Puścił ją i oboje popatrzyli na smukłe, białe palce Stephanie, jak gdyby zdziwieni, że ich ręce znowu się spotkały.

- Rzeczywiście, nie niańczysz - przyznał cicho.

- Przepraszam. Byłaś... w porządku. Dokładnie takiej matki potrzebował.

Zdumiał ją ten nieoczekiwany komplement.

- Bardzo mi pomogłeś - przyznała.

- Tak naprawdę, to chciałbym dostać w ręce tego kierowcę-pijaczka. Kiedy zobaczyłem Jeffa w szpitalu...

- przeciągnął ręką po włosach.

Do tej pory nie zgadzali się absolutnie w czymkolwiek i zapewne nigdy już nie będą, ale Stephanie wiedziała, że odczuwali ten sam gwałtowny ból.

- Jeff sobie świetnie poradzi, Steph.

Nagle poczuła się wytrącona z równowagi tym, że chce, aby Alex ją pocieszał, że uścisk jego dłoni, kiedy tak idą długim korytarzem, coś dla niej znaczy. Miała szczupłe, wypielęgnowane ręce o miękkich dłoniach. Były odbiciem jej życia. Ręce Alexa były szorstkie i stwardniałe. Twarde ręce o silnym uścisku, które powinny być dla niej całkiem obce. Dotknięcie Alexa w ogóle powinno być dla niej obce, nie na miejscu i niepotrzebne.

Oczywiście, była zdenerwowana. Ciągle tak bardzo zdenerwowana, że nie zdawała sobie sprawy, że zapadła noc, że drżała na zimnym, jesiennym wietrze i że znalazła się na miejscu pasażera w furgonetce, dopóki Alex nie zatrzęsął

drzwiczek. I wtedy spostrzegła, że coś jest nie w porządku. Od czternastu lat nie jechała furgonetką.

- Mam swój samochód - powiedziała, kiedy Alex usiadł za kierownicą.

- Który przestawiłem na parking. Jak idiotka zostawiłaś kluczyki.

- Nie myślałam o tym.

- Nie - powiedział niespodziewanie łagodnie. Włożył kluczyki do stacyjki i opadł na oparcie, nie zapalając silnika. Oboje milczeli. Światło pobliskiej latarni oświetliło wszystkie zmarszczki Alexa i ukazało cały ból, który tak starannie ukrywał przed synem.

- Słuchaj, przed tobą daleka droga do Bostonu. - Przerwała milczenie. - Moja gosposia na pewno zostawiła jakieś jedzenie. Jeżeli chcesz...

- Nie zwracaj sobie głowy.

- Do licha, jak zwykle jesteś uparty.

- Wcale nie.

- Niech będzie, stanowczy - powiedziała pojednawczo. - W każdym razie zapraszam cię na kolację... Tylko że ja pojedę swoim samochodem.

- Nie pojedziesz. Ręce ci się trzęsą. Nie ma sensu jechać dwoma samochodami. Przywiozę cię, jak będziemy odbierać Jeffa. Możesz tu zostawić samochód na noc.

- Odpieprz się, Alex. - Ciszę przerwał wybuch jego śmiechu.

- Nigdy się nie nauczysz przeklinać, Boston, ale tym razem ci się udało.

- Wcale mi się nie trzęsą ręce. I nikt mi już nie będzie mówił, co mam robić.

- Nie chciałem tobą dyrygować. Myślałem tylko, że znowu źle się poczujesz...

- Wcale nie czuję się źle.

- Właśnie że tak. Pamiętasz kota? Latałaś wtedy z dziesięć razy...

- Najwyżej dwa.

- Przecież byłem przy tym - przekręcił kluczyk i włączył bieg. Potem spojrzał na nią z ukosa. - Dobrze sobie znowu pokrzyczeć, co? Pokłóćmy się jeszcze chwilkę. Już prawie zapomniałem, jak to miło porządnie się z tobą pokłócić,

aha, przy okazji trochę się zaróżowiłaś. A ja prawie nabrałem apetytu. Założę się, że i tak nie masz w domu masła orzechowego.

- Masło orzechowe? Nigdy - uśmiechnęła się blado, nie patrząc na niego. Masło orzechowe, piwo i papierowe talerze - to był cały Alex. Szampan i Stroganow serwowane na stylowej porcelanie - to była ona. Właściwie czemu nie mieliby się dzisiaj napić szampana? Mogliby wypić za to, że Jeff wyzdrowieje, a może nawet i za własny rozwód. Tak naprawdę, to nigdy nie uczciła końca swojego małżeństwa. Z pewnym opóźnieniem uświadomiła sobie, że właściwie powinna była to zrobić. Dla większości ludzi rozwód był bolesnym przeżyciem. Dla niej - wybawieniem z więzienia. Przez czternaście lat nie pozbyła się uczucia ulgi.

- Możesz się zatrzymać i kupić to swoje masło orzechowe.

- A masz w domu coś, co się w ogóle nadaje do jedzenia?

- I tak nie będzie ci smakowało.

- Nie zaskoczysz mnie. Nic się nie zmieniło, prawda, Steph?

Jakiś dziwny ton zabrzmiał w jego głosie. Odwróciła głowę i przyjrzała mu się. Znowu się pomylił. Wszystko się zmieniło. Alex nie był już w stanie jej dokuczyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

W mieście Hanover w stanie New Hampshire nie można nie zauważyć szkoły Dartmouth. Jest wszędzie, w dźwięku dzwonów rozbrzmiewających w całym mieście co pół godziny, w gregoriańskiej architekturze i obsadzonych brzożami drogach. Alexowi wydawało się kiedyś, że w mieście unosi się zapach

solidnych, starych pieniędzy. Odróżniać stare pieniądze od nowych nauczył się już dawno, we wczesnej młodości. Ludzie, którzy je posiadali, nazywali używane meble „antykami”, mieli trawniki przypominające dywan, a własny pot wprawiał ich w zakłopotanie.

Jadąc przez miasto, Alex poczuł tę samą treść, którą odczuwał mając siedemnaście lat. Rozzłościł się sam na siebie. Wtedy naprawdę gotów był zaprzedać duszę diabłu, byle tylko chodzić do takiej szkoły jak Dartmouth. Kochał gregoriańską architekturę. Kochał nawet te cholerne dzwony. A mimo wszystko, fakt że poczuł choć cień dawnego kompleksu było doprawdy śmieszny! Przecież powiodło mu się w życiu i bez tej ekskluzywnej szkoły, chociaż nie było to łatwe.

Parkując furgonetkę przed domem Stephanie, przyjrzał się piętrowemu budynkowi z czerwonej cegły. Jej ojciec mieszkał pół mili stąd, a jego dom był bardzo podobny - miał takie same okna z małymi szybkami i podobne słupki przy chodniku, który prowadził do wejścia. Alex pozwolił sobie na chwilę szczeniackiej złośliwości - pomyślał, że dzisiaj mógłby jej kupić z tuzin takich domów. Znowu musiał przywołać się do porządku. Co za idiotyzm ciągle się tym przejmować!

Stephanie szła przodem zapalając światła. Zatrzymała się w drzwiach do kuchni z niepewnym uśmiechem.

- Alex, nie musisz zdejmować butów... Czyżby? Dywan w pokoju był kremowy nie śnieżnobiały, ale prawie. Obie kanapy, kryte welurem, miały ten sam onieśmielający kremowy odcień. Cytrynowe i różowe poduszki rozmieszczono w pozornym nieładzie. Wdzięczne porcelanowe figurki w stylu Royal Doulton ozdabiały stoliki, a wielki, olejny portret ojca Stephanie nad marmurowym kominkiem patrzył prosto na Alexa, prowokując go do zostawiania gdzie tylko się dało tłustych plam w tym królestwie ładu i pastelowych odcieni.

Alex ukrył twarz za torbą z zakupami. Nie było w niej co prawda masła orzechowego. Aż tak za nim nie przepadał. Ale dzięki Bogu, nie zapomniał o

piwie, wiedział, że będzie mu potrzebne. W szpitalu wydawało mu się, że nie może zostawić Stephanie samej w pustym domu na pastwę zmartwień i niewesołych rozmyślań. Teraz uświadomił sobie, że wcale nie był jej potrzebny. Nigdy nie był jej potrzebny. A sam fakt, że znalazł się znowu w tym domu, sprawił, że ożyły wspomnienia, które wolał zostawić w spokoju.

- Dam ci szklanę.

- Nie fatyguj się. Wypiję z puszki.

Kiwnęła głową. Głos Alexa brzmiał sucho i obco, a uśmiech zniknął z jego twarzy tuż za progiem.

Wytrąciło ją to z równowagi, mimo że właściwie nie było powodu, żeby prowadzić przyjemne rozmówki. Wystarczyło jej w zupełności, że był przy niej. Nieobecność Jeffa wyczierała z każdego kąta. I naprawdę nie musiała czuć się skrepowana obecnością Alexa.

Pstryknęła światło w kuchni. Niewielki mosiężny kandelabr zamrugał, a jego blask odbił się w dębowym blacie stołu. Przesunęła bukiet suchych kwiatów i rozłożyła serwetki, upewniając się w myślach, że zachowuje się całkiem naturalnie.

- Myrt zostawiła ogromną kolację - otworzyła lodówkę. - Stroganow. Trzeba go tylko odgrzać.

- Ja to zrobię. Siadaj.

- Mogę...

Dotknął jej biodra. Odsunęła się szybko. Zapanowało niezręczne milczenie. Ciężkie, jak chmura grobowa. Alex wyjął sztuce. Wiedział, gdzie ich szukać. Bywał już w tej kuchni, ale zawsze był tu wtedy Jeff. Stephanie wyjęła talerze. Boże, ale narobiła hałasu!

Nagle zrobiło się cicho. Słyszeć było tylko szum kuchenki mikrofalowej. Dwoje obcych ludzi patrzyło na siebie w milczeniu.

Stephanie chrząknęła.

- Na pewno dobrze ci idzie, skoro masz teraz firmę w Bostonie. Jeff tyle mi opowiada o twoich samochodach.

- Nie chcesz chyba gadać o starych samochodach. - Rzucił jej rozbawione spojrzenie. Sięgnął do lodówki, znalazł napoczętą butelkę wina i rozglądał się za kieliszkami.

- Jeff mówi, że stajesz się znanym rzeczoznawcą. Twoja firma działa teraz w Vermont i Hampshire?

- Tyle samo obchodzi cię handel nieruchomościami, Alex - powiedziała sucho - co mnie stare samochody.

- Nie sądzę?

- Zanudziłbyś się na śmierć, i dobrze o tym wiesz. Ze zdziwieniem popatrzyła na kieliszek. Nie zdawała sobie sprawy, że trzyma go w ręku.

- Nie będę piła...

- Musisz - uśmiech pojawił się na chwilę w jego oczach, kiedy z udaną grozą popatrzył na swoje piwo. - Nigdy nie piję sam.

- Cóż, w takim razie... - z uśmiechem sączyła wino i przyłapała się na tym, że mu się przygląda. Znowu rozzłościła ją własna niezręczność. Alex przyjeżdżał po Jeffa tysiące razy. To jasne, że nigdy nie był dla niej kimś zupełnie obcym, ale stare rany zagoiły się już dawno. Nie było powodu do zdenerwowania.

Do dzisiaj jednak Alex nigdy nie był z nią sam na sam. Stwierdziła, że patrzy teraz na niego inaczej. Nie miała pojęcia, gdzie się tak pięknie opalił, ani skąd wzięła się pionowa zmarszczka między brwiami, której nigdy przedtem nie zauważyła. Nie znała go. Już go nie znała.

Sęk w tym, rozmyślała Stephanie, że kobieta, która spotka Alexa po raz pierwszy, ujrzy innego mężczyznę. Zauważy, że Alex ma ramiona i uda jak ze stali i że porusza się ostrożnie, jakby powściągał swoją siłę, że jest łagodnym człowiekiem tylko dlatego, że ma takie delikatne usta.

Naprawdę miał delikatne usta. Tylko skrzywiony uśmiech był niebezpieczny. Dokładnie przyjrzała się jego twarzy. Wydatne kości policzkowe, prosty nos, kwadratowa szczęka... zatrzymała się na oczach. Oczy też były niebezpieczne. Wydawać by się mogło, że są po prostu brązowe. Tylko że „po prostu brązowe” znaczyłoby, że są na psi sposób potulne, a oczy Alexa z pewnością takie nie były. Mogły przejrzeć kobietę na wylot, bezwzględnie zedrzyć z niej całą otoczkę dobrych manier, a potem nagle stawały się czule i wyrozumiałe.

Alex, doszła do wniosku Stephanie, był niebezpiecznie pociągającym mężczyzną. To wiedziała zawsze. Po prostu zapomniała. W nagrodę, że jest całkowicie odporna na jego wdzięki, pozwoliła sobie na spory łyk wina.

Kiedy kuchenka zadzwoniła, oboje rzucili się w jej kierunku. Stephanie zatrzymał telefon. Po chwili Alex postawił jej talerz na bocznej szafce blisko telefonu, ale nie dane jej było zjeść. Najpierw zadzwonił George, żeby się dowiedzieć o zdrowie Jeffa. Nie był zachwycony, że chciała wziąć urlop na cały następny tydzień.

Ledwie zdążyła odłożyć słuchawkę, zadzwoniła gosposia, potem należało zawiadomić nauczyciela, następnie telefonował jej ojciec, a wszyscy domagali się szczegółowej relacji. Odpowiadała na rozliczne pytania, masując skronie już prawie pół godziny. Była taka zmęczona!

Właśnie zamierzała usiąść, kiedy telefon zadzwonił znowu. Był to kolega Jeffa. Jakoś sobie z nim poradziła, ale kiedy ponownie telefon odezwał się, Alex podniósł słuchawkę. Szybko załatwił sprawę, a potem wyłączył aparat i zabrał się po raz kolejny do odgrzewania jedzenia.

Jeszcze przed godziną zastanawiał się, po co jest tu potrzebny. Teraz już wiedział. Przez chwilę wyglądało na to, że Stephanie wraca do siebie, ale teraz znowu zbladła jak ściana. Zawsze była nierozsądna. Tak jej cholernie zależało, żeby zawsze być miłą dla ludzi, nawet wtedy, gdy dosłownie padała na twarz. A ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było przeżywanie wypadku Jeffa tyle razy na nowo! Doprawdy, ta kobieta potrzebowała niańki!

Stephanie potrząsnęła głową, kiedy podał jej od-grzaną kolację.

- I tak nic nie przełknę.

- Tylko troszeczkę.

- Alex...

- I jeszcze trochę wina - napełnił jej kieliszek i usiadł naprzeciw opierając łokcie na stole.

- Dobrze - zgodziła się, żeby w ogóle coś powiedzieć, ale czuła, że temat się wyczerpał. O czym, do licha, miała z nim rozmawiać?

- Ciężko nam idzie, co? - mruknął Alex. Podniosła wzrok.

- Może byłoby łatwiej, gdybyśmy zaczęli od małego draśnięcia. Cześć. Jestem Alex Carson. Twój były. Pracuję w Nowym Jorku i Bostonie. Remontuję zabytkowe samochody - stare, nawet bardzo stare. Mam cholernie wielką rodzinę.

Stefania parsknęła śmiechem. Była już mniej sztywna. Przynajmniej miał ten sam kłopot co ona.

- Jak twoi rodzice?

- Jak zwykle... Jak im stuknie osiemdziesiątka, to pewno wezmą rozwód. Wcześniej nie dadzą rady. Nie dogadają się nawet na ten temat.

- Alex! Oni są szczęśliwym małżeństwem!

- Bez przerwy się kłócą.

- Zawsze tak było. Uwielbiają się kłócić.

- Racja - Alex dyskretnie dołożył jej na talerz następną porcję. Stephanie jadła jak wygłodniały bezpański pies, ale nie śmiał o tym wspomnieć. Pomijając fakt, że z pewnością nie podobałoby jej się to śmiałe porównanie; oczy jej znowu błyszczały, a to było dla niego wystarczającą nagrodą. - Wiesz, mieszkasz w tym domu już ze dwa lata, a nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego właściwie wyprowadziłaś się od ojca. Myślałem, że ugrzęzłaś tam na dobre.

- No, cóż... - Will Randolph był osobą, o której nie należało wspominać w obecności Alexa.

- Chciałam mieć własny dom - powiedziała po prostu. - Jeff dorasta do wieku, kiedy muzyka staje się coraz głośniejsza. A tata potrzebuje coraz więcej spokoju. Zanim doszło do poważnych konfliktów, po prostu...

Kiwnął głową i jeszcze dołożył jej kolejną porcję. - Jeff mówi, że spotykasz się teraz z jakimś facetem. Stanowczym gestem odłożyła widelec.

- Alex, nie wyprowadziłam się z powodu jakiegoś mężczyzny, jeżeli o to ci chodzi. Jeśli przypuszczasz, że zrobiłabym coś nieodpowiedniego przy Jeffie, zwłaszcza teraz, kiedy jest w takim drażliwym okresie...

- Ani cię nie krytykuję, ani nie chwale - powiedział uspokajająco. - Po prostu podtrzymuję konwersację, Boston. Masz pełne prawo do życia osobistego, a Jeff opowiadał o tym facecie...

- Jak tylko umówię się z kimś więcej niż dwa razy pod rząd, Jeffowi zaraz się wydaje, że mam zamiar wyjść za niego za mąż - powiedziała Stephanie z westchnieniem i znowu wzięła widelec do ręki. Słowo „Boston” tym razem sprawiło, że dreszcze przebiegły jej po plecach, a może to z powodu wina... Była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że Alex odstawia jej pusty talerz. Czyżby wszystko zjadła?

- Alex, myślisz, że on będzie spał?

- Myślę, że już śpi jak suseł - Alex wiedział od razu, że miała na myśli ich syna.

- A nie obudzi się z bólu?

- Jeżeli nawet, to dadzą mu jakiś zastrzyk, Boston. Ale natura świetnie sobie radzi z połamańcami. Na ogół całe ciało jest w szoku i wcale nie boli. Przez dzień czy dwa w ogóle nic się nie czuje.

- Skąd wiesz? - Stephanie wstała, żeby włożyć talerz do zmywarki.

- Miałem złamaną rękę i nogę.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś - zdziwiła się.

- Nigdy ci też nie mówiłem, że chciałem ogolić włoski brzoskiwini maszynką ojca, jak miałem siedem lat. Chcesz wiedzieć, co mi wtedy powiedział?

- Nie, nie - powiedziała szybko - wiem, co twój ojciec mógł mieć do powiedzenia. Dwa słowa, w tym trzy brzydkie.

Alex prychnął za jej plecami, a ona szybko złapała ścierkę do naczyń.

- Uprać ci koszulę? - zapytała mimochodem.

- Co proszę?

- To żaden kłopot wrzucić ją do pralki. Pomyślałam sobie... - zawahała się, a potem odwróciła i spojrzała prosto na niego.

- Na pewno też jesteś wykończony. Nie ma sensu jechać taki kawał do Bostonu tylko po to, żeby z samego rana wracać po Jeffa. Oczywiście, wcale nie musisz ze mną jechać...

- Powiedziałem Jeffowi, że przyjadę, to przyjadę.

- Tak - Alex nie złamałby obietnicy, choćby miał randkę ze śmiercią. Stephanie nigdy w to nie wątpiła. - Na górze są trzy sypialnie. Możesz spać u Jeffa albo w gościnnej. Zakładając, że chciałbyś mieć czyste koszulę na rano...

- Nie będę cię krępował, jeżeli rzeczywiście zostanę?

- Nie, nie będziesz mnie krępował. Idę spać, a ty rób, co chcesz. To tylko propozycja. - Nie mogła mu tego nie zaproponować. Głębokie cienie okalały jego oczy. Padał ze zmęczenia, był ojcem jej syna i nie miała zamiaru traktować go jak wroga. Czternaście lat po rozwodzie dowiodło, że Alex nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia, a to, że mu zaproponowała, żeby przenocował, było po prostu kwestią przyzwoitości. Z pewnością nie było w tym nic dziwnego.

- Dobrze. Jeżeli na pewno...

- Ależ na pewno, na pewno. A jak chcesz, żebym ci uprała...

- Sam sobie poradzę - już ściągał koszulę. Nagi do pasa wyszedł do pralni tuż za kuchnią.

Stephanie stała nieruchomo, mimo woli nie mogła oderwać od niego wzroku. Jego ramiona i barki były wspaniale umięśnione, tors - twardej jak skała. Nie

osiągnął tego ćwicząc podnoszenie ciężarów, nie było to ciało mężczyzny, który od czasu do czasu gimnastykuje się dla utrzymania formy, ale ciało człowieka, który dzień po dniu ciężko pracuje fizycznie. Nawet włosy na jego piersi wydawały się sprężyste jak poskręcane druciki. Jej piersi ciągle jeszcze pamiętały ich dotknięcie i miazdzącą siłę jego uścisku.

Alex zatrzasnął klapę pralki i wrócił do kuchni. Ich oczy spotkały się i przez ułamek sekundy coś dziwnego i nieoczekiwane silnego przepłynęło między nimi. Stephanie z trudem odzyskała głos.

- Jeżeli rzeczywiście sobie poradzisz, to pójdę już do łóżka.

- Świetnie. Śpij dobrze i... dziękuję.

- Nie ma sprawy.

A jednak, nie udało się jej zasnąć. Zegar przy łóżku wybijał godzinę za godziną. Noc była ciemna i pochmurna. Jesienny wiatr rzucał liśćmi o szyby. Słyszała, jak Alex wchodzi po schodach i cicho zamyka drzwi gościnnego pokoju.

Zamknęła oczy. Powinna odpocząć. Pozornie wszystko temu sprzyjało - delikatna i chłodna pościel, koszula nocna pieszcząca jedwabnym dotknięciem, sypialnia wypełniona znajomymi przedmiotami: niewielka, jasna kanapka, ulubione perfumy na toaletce, kolekcja alabastrowych i porcelanowych puzderek na stoliku pod oknem. Stephanie bez końca poprawiała poduszkę. Starła się myśleć o puzderkach, ale nie mogła przestać myśleć o Alexie. Nie mogła się odprężyć.

O trzeciej nad ranem zrezygnowana sięgnęła po długi, biały szlafrok leżący w nogach łóżka i z wielką ostrożnością, na palcach zeszła na dół. Alexa budził najlżejszy szmer, przynajmniej kiedyś tak bywało. Przechodząc przez salon do barku, nie śmiała nawet zapalić światła.

Barek był jaskinią Jeffa. W zeszłym roku wstawił tu staroświecką kanapę i zbudował półkę na książki z desek opartych na ceglach. Mówił, że potrzebuje

miejsca, gdzie mógłby gromadzić swoje rupiecie, a ona nie miała nic przeciwko temu. Usiadła w rogu kanapy, podciągając kolana pod brodę.

- Też nie możesz spać? Podskoczyła jak oparzona.

- Alex, nie widziałam cię!

Nadal nie mogła go dojrzeć w ciemności, ukrytego w odległym kącie pokoju.

- Może trochę wina dobrze by ci zrobiło? Zawahała się. - Poproszę.

Po chwili wrócił z kuchni. Kiedy podawał jej kieliszek, ich palce spotkały się przypadkiem. Trochę się napiła, zaniepokojona niespodziewanym dotknięciem, zirytowana swoim zmieszaniem. Dobrze, że nie zapalił światła.

Kiedy jej źrenice przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła, że w ogóle się nie przebrał. Miał na sobie tylko dżinsy. Wypiła następny łyk.

- Nie mogę przestać myśleć o Jeffie - wymamrotała.

- Nie mogę przestać myśleć o tobie - cichy głos Alexa zabrzmiał szczerze. Odchylił głowę na oparcie fotela, świadom wrażenia, jakie mogły na niej zrobić jego słowa. Wiedział, że nie mogła go widzieć, chociaż on dokładnie odróżniał jej bladą twarz na tle ciemnego oparcia kanapy. Jedwabiste pasma jasnych włosów o niespotykanym odcieniu opadały jej na ramiona. Alex wiedział, że Stephanie potrafiła być elegancka nawet o trzeciej nad ranem. Jedwabny szlafrok ściśle otulał jej ciało. W ciemności doleciał go delikatny, niepokojący zapach jej perfum. Powinien był wiedzieć, że za nic nie uda mu się zasnąć pod jednym dachem ze Stephanie.

- Myślałem, że byliśmy wtedy potwornymi głupcami.

Zamarła na moment, dosyć już miała wspomnień, ale napięcie szybko minęło. „Wtedy” było tak dawno...

- Trudno o większych - zgodziła się.

- Przypomniał mi się nasz ślub. Samochód rozkraczył się w drodze do motelu.

Roześmiała się. - Ten stary rupiec... O mało cię wtedy nie rozjechałam. Leżałeś pod samochodem i kazałeś mi wrzucić na luz, a ja włączyłam jakiś bieg.

- Naprawdę przejechałaś mi stopę.

- Mój Boże. Do tej pory masz żal?
 - Trochę.
 - Do licha z tobą. Ja za to pamiętam dokładnie, co powiedziałeś o moim pierwszym rostbefie.
 - Boston. Pies by go nie chciał.
 - Mogłeś przynajmniej spróbować.
 - Nie dałaś mi szansy. Rzuciłaś nim we mnie. Razem z marchewką.
 - Zawsze miałam przeczucie - powiedziała ze smutkiem - że najbardziej nie cierpiałeś marchewki.
 - Aha, a potem kiedy zaprosiłem kumpli na pokera, podałaś nam do przegryzienia malusieńkie wycięte w trójkąciki kanapeczki z ogórkiem.
 - Chciałam ich ugościć. Skąd miałam wiedzieć, że woleli frytki i piwo.
 - A dlaczego zamknęłaś mi drzwi przed nosem?
 - Zasłużyłaś sobie - upewniła go.
 - Było tak zimno, że omal nie zamarzęm!
 - I to się na mnie zemściło. Dostałaś grypy i musiałam cię pielęgnować. Zachowywałeś się tak, jakbyś miał za chwilę umrzeć.
 - Raczej umarłbym tego dnia, kiedy twój ojciec wpadł znienacka i zobaczył, że goły ganiem cię dookoła stołu.
 - Drgnęła. To nie było ładne z jego strony. Tak intymnych szczegółów nie powinien wspominać. Ba, nie powinien ich nawet pamiętać. Z drugiej strony jednak Alex nigdy nie był szczególnie grzeczny, ale Stephanie teraz już nie przejmowała się takimi drobiazgami.

 - Nie zapominaj, że sytuacja była równie kłopotliwa dla mnie, jak i dla ciebie - zauważyła chłodno. - Ja też nic nie miałam na sobie.
- Alex zapalił lampkę. Stephanie zmrużyła oczy przed nagłym blaskiem.
- Dlaczego to zrobiłaś?
 - Chciałem zobaczyć, jak się rumienisz, Boston.

- To nie było uczciwe.

- Ciągłe się rumieniłaś - uśmiechnął się. - Cholera, Steph, kiedyś myślałem, że resztę życia spędzisz zamknięta w łazience. Nie daj Boże, żebym zobaczył, jak myjesz zęby. Padłbym rażony gromem, gdybym zobaczył cię w lokówkach...

- Psia krew, Alex. Miałam siedemnaście lat, czułam się niezręcznie, bo ty byłeś mężczyzną. W twoim domu mnóstwo rzeczy uznawano za naturalne, a w moim nie. Nie wiedziałam, co to znaczy zachowywać się naturalnie.

- Wcale nie o to mi chodziło - powiedział smutno.

- To o co?

- Blokowałaś jedyny kibel w domu - przypomniał.

- Roześmiała się serdecznie, odrzucając głowę do tyłu.

- Słuchaj, Carson, tak samo byłeś drażliwy na punkcie swojej osoby jak i ja.

- Wymień chociaż jeden przykład - powiedział z powątpiewaniem.

- Proszę bardzo. Wyglupiałaś się rzucając kluczem francuskim i spuściłaś go sobie... zgiąłeś się w pół jak scyzoryk...

- Nie musisz kończyć.

- Jęczałaś „nic mi nie jest, nic mi nie jest, ale nie licz na więcej dzieci”. Boże, myślałam, że jesteś ciężko ranny. Trzeba było po prostu powiedzieć, co cię boli.

- Są takie rzeczy, o których siedemnastoletniemu chłopakowi niezręcznie rozmawiać z damą.

- Widzę, że stara podwójna moralność dalej miewa się świetnie - powiedziała jadownie i dokończyła wino. Chłodny, słodki płyn tak przyjemnie rozgrzewał. Dziwnie było móc się śmiać z tego wszystkiego. Wtedy żadne z tych zdarzeń wcale nie było zabawne.

- Nie wydaje ci się, że traktowaliśmy siebie zbyt serio.

- Przecież poszło o coś znacznie poważniejszego - powiedział cicho.

Wiedziała. Jej oczy odnalazły w ciemnościach jego oczy. Oboje wiedzieli.

Ślub w wieku siedemnastu lat na ogół jest szaleństwem, a oni musieli pokonać jeszcze inne przeszkody. Jej ojciec ruszył w pościg za nimi i kazał aresztować

Alexa pod zarzutem gwałtu. Stephanie wychowana w domu pełnym służby, nagle zamieszkała w jednym pokoju z kuchnią nad jakimś garażem, a jej książeczka czekowa zupełnie ogłuchła na polecenia. Jego rodzice jej nie lubili. Ponadto była w ciąży.

To wystarczyło w zupełności. Ale nie dlatego się rozeszli. Alex o tym wiedział. Dostrzegła w jego oczach dawny ból. Sama też go czuła. I wcale jej się to nie podobało. Ani teraz, ani przedtem. Ból zżerał zbyt wiele sił, a ona nie miała już ochoty ich tracić. Wstała.

- Myślę - powiedziała niewyraźnie - że w końcu zachciało mi się spać.

- Mnie chyba też.

Zgasił światło i poszedł za nią. Poczwała nagłą złość, że w ogóle zaproponowała, by został na noc. Mimo to była zadowolona, że tak się stało. Nie chciała, żeby wróciły stare pretensje. Właściwie przyjemnie było pośmiać się razem z nim. Nie pragnęła też tej nocy zostać sama albo być z kimś, kto nie byłby w stanie zrozumieć jej tak dobrze jak ojciec jej syna. Przed drzwiami swego pokoju zatrzymała się na chwilę.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Za co?

- Za to, że byłeś ze mną i z Jeffem. Zawsze byłeś dobrym ojcem. Nigdy ci tego nie mówiłam...

Wszystko nagle tak się spiętrzyło. Obraz Jeffa na szpitalnym łóżku - był taki biedny - czekanie, podróż, i to, że zasłabła, i to, że stawała na głowie, żeby Jeff się uśmiechnął, kiedy sama miała właściwie ochotę płakać.

Alex otoczył ją ramieniem, szorstką dłonią odgarnął jej włosy z czoła i otarł łzę z policzka. Głupie łzy. Od lat już nie płakała. Randolphowie nigdy nie płaczą. Randolphów wychowuje się tak, by nigdy nie płakali i zawsze potrafili panować nad emocjami. Żeby byli silni jak Nowa Anglia - twardzi i nieugięci.

Jej wargi drżały.

Alex oparł się o ścianę, przyciągnął ją do siebie. Uniósł jej twarz i kciukiem, którego skóra była twarda i szorstka, delikatnie startł łzy płynące po jej policzkach.

- Wiesz o tym, że czułabyś się o wiele lepiej, gdybyś płakała wtedy, kiedy naprawdę masz ochotę. Zawsze wszystko dusisz w sobie.

- Och, zamknij się. Wcale nie chcę płakać.

- To ci pomoże.

- Wcale nie. To jest... brzydkie.

- Boston, postaraj się nie gadać bzdur.

- Nie gadam bzdur. Jestem spokojną, logicznie myślącą, wrażliwą kobietą, ale nie cierpię płakać.

Dlatego właśnie przez te czternaście lat nigdy nie była z nim sam na sam. Przy nim zawsze wygadywała takie bzdury.

- Masz - wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni

- wydmuchaj nos.

- Nie.

Trzymał chusteczkę przy jej twarzy tak długo, aż usłuchała. Nie był to wytworny dźwięk. Łudząco przypominał syrenę okrętową.

- Teraz możesz oddychać? - chusteczka wylądowała z powrotem w jego kieszeni.

- Owszem - powiedziała cierpko.

- To świetnie, bo mam zamiar cię pocałować. Uchyliła się błyskawicznie, ale Alex był szybszy.

Poczuła jego wargi, niespodziewana fala ciepła ogarnęła ją całą. Brzydkie uczucia zaczęły zakradać się do jej duszy. Pożądanie, odległe echo czegoś bardzo silnego. Serce jej nagle zatrzepotało jak ptak w potrzasku.

Stała sztywno, wsparta dłońmi o ścianę i słuchała łomotu własnego serca. Jak mogła na śmierć zapomnieć, że zostając z nim sam na sam naraża się na okropne niebezpieczeństwo. Alex całował jak szatan!

Oczywiście, że przez te wszystkie lata musiał nieraz całować inne kobiety. Na pewno było ich tak wiele, że sam już się nie mógł w tym połapać. Rano będzie mu cholernie głupio, ale na razie zrobi mu tę przyjemność i będzie wrażliwa jak kawałek skamieniałego drewna.

Jego wargi nalegały, potem drażniły się z nią

- delikatne i ciepłe. Jego język zwilżył jej usta. Był gorący. I poruszał się wolno.

Jego dłoń wkradła się między jej włosy i uniosła twarz Stephanie w górę.

Mogłaby wszcząć awanturę, ale zbyt była zajęta okazywaniem całkowitej obojętności.

Jego wargi znów dosięgły jej ust. Postąpił krok naprzód, dotykając biodrem jej biodra. Dżinsy otarły się o jedwab.

Smakował jak Alex. Stephanie w ciągu czternastu lat dokładała wielkiego wysiłku, by całować mężczyzn, ale żaden z nich nie smakował jak Alex. Do licha, dalej to Czula. Mieli po trzydzieści jeden lat, a jej nie przeszła ochota na tego faceta. I czego to dowodzi? Chuć - nie warta funta kłaków.

Czyjeś palce wśliznęły się w dekolt jej szlafroka. Obserwował ją w ciemności oczami błyszczącymi jak srebro. A potem przestał się jej przyglądać, bo znowu pochylił ku niej głowę. Zażądał jej ust z tą samą leniwą pewnością, z którą jego dłoń sięgnęła po jej piersi okryte jedwabiem.

Chciałaby chociaż raz móc znieść jego dotknięcie bez kłopotu serca. Uniosła rękę do jego ramion, pragnąc wesprzeć się na nim. Jego skóra była śliska i ciepła, maskowała siłę drzemiącą w ukrytych pod nią mięśniach. To nie była tylko jej wina, że się poddała. To on sprawił, że poczuła, że jest drobna, krucha i nieskończenie kobieca. Każda kobieta mogła zatracić się z takim mężczyzną.

Gdy mieli po siedemnaście lat, zawsze okropnie się spieszył. Ale, między Bogiem a prawdą, ona także. Nic się nie zmieniło. Jego ogień wybuchał gwałtownie. Dalej był jak pożar w puszczy. Zachłanny i nienasycony, a jego usta były tak bardzo samotne.

Ona też była samotna. Całe życie wszyscy traktowali ją jak kruche cacko. Wszyscy, ale nie Alex. On był okrutny, zadał od niej tego, o co nikt inny nie śmiałyby prosić, i brał to. I nigdy nie miał dosyć...

Palce Stephanie zaplątały się w jego włosach.

Pochyliła się ku niemu, szczytami piersi muskając jego nagi tors. Głębokie westchnienie, które wyrwało się z jego gardła, zwiększyło jeszcze jej pragnienie. Jego usta przesunęły się z jej warg na szyję i w dół do zagłębienia pod obojczykiem. Wiedział, że nie potrafiła tego znieść. Nie miał prawa pamiętać, że to było jej czule miejsce.

Biodra Alexa nacisnęły mocniej. Dżinsy zgniotły jedwab. Jego napięta męskość dotknęła najdelikatniejszego punktu jej brzucha. Pożądanie spłynęło na nią szerokim, gorącym strumieniem. Poczula się jedwabście gładka, szalona, odurzona i... niemile zaskoczona, gdy Alex niespodziewanie oderwał się od niej. Oddychał ciężko. Jego oczy lśniły jak nocne jeziora.

- Kiedy do diabła masz zamiar mnie powstrzymać?

- wykrztusił.

Nagle poczuła się bezradna i jednocześnie wściekła.

- Po jaką cholere w ogóle zaczynałeś? Dotknął jej policzka, wykrzywając usta.

- Właśnie przekłęś.

- Wcale nie.

- Wcale tak. Zacząłem, bo cię pragnę. Tak samo jak zawsze cię pragnąłem.

Tylko, że ty mnie podobno już nie chcesz. Tak się sprawa przedstawia, Boston

- pchnął uchylone drzwi do jej sypialni.

- Zamknij się na klucz - powiedział szorstko i odszedł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Za kwadrans szósta Stephanie usłyszała skrzypienie drzwi. Panował półmrok - ten szczególny rodzaj ciemności tuż przed wschodem słońca. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała, jak Alex zbliża się do jej łóżka. Zawahał się, a ona nie drgnęła nawet, prawie wstrzymując oddech. Po chwili oparł dłonie o łóżko.

- Nigdy nie potrafiłaś udawać, Steph. Żadne z nas nie może spać. Zaparzę kawę. Ubrała się w luźne spodnie z wielbłądziej wełny i miękki sweter. Włosy zebrała w porządną kok i przypudrowała błękitne cienie pod oczami. Weszła do kuchni z twarzą pokerzysty.

Na kuchence stały dwie patelnie. Alex w jednej ręce trzymał widelec, a w drugiej łyżkę, na zmianę mieszając bekon i jajecznicę. Był bosy, czystą koszulę wypuścił na dzinsy, a jego zarost nie widział jeszcze maszynki. Stephanie wróciła wspomnieniem do ich wspólnych poranków sprzed lat. Alex był zawsze luźny, a nawet obszarpany i w zadziwiający sposób dominująco męski, ona - zawsze porządna, uładzona i kobieca. Podniósł wzrok. Dostrzegła w jego oczach niepokojące napięcie.

Jej palce kurczowo uchwyciły niewielką broszkę przy szyi. Alex natychmiast zauważył ten ruch. Ta broszka, to był jej taktyczny błąd. Zawsze ją nosiła, gdy potrzebny był jej jakiś talizman, ale któż mógłby przypuszczać, że Alex nie zapomniał przez te wszystkie lata i tego szczegółu. Pospieszenie podeszła do lodówki.

- Mam słodki, świeży melon, jeśli masz ochotę. I grzanki... Pomyślałam, że moglibyśmy odebrać Jeffa dość wcześnie, dobrze?

Nakryła do stołu porcelaną matki i srebrnymi sztucami, włączyła ekspres, pokroiła melona i umoczyła grzankę w galaretkę. Kiedy Alex podał jajka i

bekon, przez okno zajrzało blade światło słoneczne. Stół wyglądał w nim jak uczta dla dziesięciu osób. Stephanie podniosła widelec i pomyślała, że chyba nie będzie w stanie niczego przełknąć.

- Przestań, Stephanie.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się uprzejmie.

- Proszę?

Alex odchylił się na krześle i niecierpliwie potarł kark. W jego oczach irytacja mieszała się z rozbawieniem. Stephanie była jedyną znaną mu kobietą, która podawała sok pomarańczowy w kryształowych szklankach, a na śniadanie schodziła ze szminką na ustach. Jej uprzejmy uśmiech prawie go oszukał.

- Możesz się uspokoić - powiedział rzeczowo - to już się nie powtórzy.

Leciutki rumieniec zabarwił jej policzki.

- Na pewno nie - zgodziła się natychmiast. Jej głos, jak echo, posłusznie powtórzył to wszystko, co setki razy mówiła sobie w nocy, kiedy tak bardzo starała się zasnąć. - Na miłość boską, Alex, nie miałam zamiaru w ogóle do tego wracać. Ty piłeś piwo, ja - wino, oboje byliśmy potwornie zmęczeni, oboje emocjonalnie rozbici z powodu Jeffa...

- A więc uspokój się - przerwał.

- Jestem spokojna - zapewniła. I zaraz zacznę się złościć - dodała w duchu.

- Przestań więc zajmować się broszką, a zacznij jeść - zaproponował. - Nie musisz też udawać, że jesteś taka cholernie uprzejma, Boston. Wiem, że przekroczyłem wszelkie granice.

Przez krótką chwilę zastanowiła się, czy nie oblać go kawą. Oczywiście nie zrobi tego, ponieważ jest dumna z tego, że potrafi panować nad swoimi uczuciami. Gdyby nie to, już dawno zamordowałyby Alexa. Miała równie wiele powodów co okazji. Ten człowiek był najbardziej arogancki właśnie wtedy, gdy przemawiał najuprzejmiej w świecie. Miał irytujący nawyk mówienia prawdy, podczas gdy niewinne kłamstwo byłoby dla wszystkich stokroć wygodniejsze.

Czuła też śmieszoną mieszaninę ulgi i urazy, że tak łatwo przeszedł do porządku nad tym, co zaszło między nimi ubiegłej nocy.

Rzeczywiście, przekroczył wszelkie granice! Nie miała zamiaru tak prędko mu tego zapomnieć. Chciała natomiast jak najprędzej wymazać z pamięci to, że sama topniała w jego ramionach jak głupia nastolatka.

Znowu podniosła widelec i przełknęła kęs jedzenia. - Pyszne, Alex - powiedziała wesoło.

Spojrzał na nią uważnie.

Jak tylko odbiorą Jeffa - wszystko będzie inaczej.

- Mamo! Tato! Myślałem, że już nigdy nie przyjdziecie!

Była dopiero ósma rano, nie była to więc uwaga uzasadniona, ale jedno spojrzenie wystarczyło Stephanie, aby pożałować, że nie przyjechali jeszcze wcześniej. To prawda, że jej syn dzielnie się uśmiechał, ale siniaki od wczoraj zrobiły się bardziej kolorowe. Wczoraj nie zwróciła też uwagi na bandaż na jego piersi, a biały gips na nodze jakby jeszcze urósł. Zapragnęła natychmiast zabrać go do domu, gdzie mogłaby spokojnie zagłaskać go na śmierć.

- Dobrze spałeś? - nie mogła sobie odmówić przyjemności dotknięcia go - odgarnęła mu niesforny lok z czoła, co skwitował grymasem zniecierpliwienia.

- Oczywiście dobrze, ale obudzili nas o świcie na śniadanie. Chodźmy stąd. Lekarz już był. Mówi, że wszystko w porządku.

- Wiem. Już z nim rozmawialiśmy. Będziesz musiał trzymać nogę w górze jeszcze przynajmniej przez parę dni, Jeff...

- Jasne. Które dzinsy przyniosłaś?

- Nie te ulubione, ale nie złość się. Trzeba będzie uciąć nogawkę...

- Dobra, wiem - Jeff spojrzał najpierw na matkę, potem na ojca i rozpromienił się radośnie. - Ale fajnie, że jesteśmy wszyscy razem - powiedział.

- Zupełnie jak normalna rodzina, nie?

Stephanie zamarła. Alex zrobił krok do przodu.

- Mama pójdzie cię teraz wypisać, a ja pomogę ci z ubieraniem, stary. Zwiniemy się stąd w pół godziny.

Potrwało to jednak trochę dłużej. Wypisanie było kwestią minut, ale ani Jeff nie był tak silny, jak mu się wydawało, ani chodzenie o kulach nie było takie proste. Stephanie chciała przewieźć go na wózku inwalidzkim, ale Jeff popatrzył na nią zezem.

- Mamo, nie marudź.

- Hej. Matka potwornie się o ciebie martwi i jeżeli życzy sobie, żebyś wyjechał stąd na fotelu...

- Jasne, tato. Przepraszam, mamó. Poczęstowała Alexa złym spojrzeniem. Jeżeli jej syn chce marudzić, to ma do tego prawo. Bóg świadkiem, że nikt nie potrafił dorównać Alexowi, kiedy był chory.

Jeff dał się odwieźć na wózku bez słowa protestu aż do samych drzwi szpitala. Chwilę później, już znów uśmiechnięty, siedział na tylnym siedzeniu furgonetki Alexa. Kiedy ruszyli, pochylił się tak, że mógł patrzeć na nich oboje. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Więc... co porabialiście wczoraj wieczorem - zapytał tonem, który ma być zachętą do dalszej konwersacji. - Zabrałeś mamę na kolację, tato?

- Nie, jedliśmy u was w domu - Alex wrzucił migacz, długo obserwował ruch uliczny, którego wcale nie było, aż w końcu skręcił w lewo na Park Street. Bardzo kształtne udo Stephanie przytuliło się do jego uda. Poczł delikatny zapach jej perfum.

- Robiliście jeszcze coś ciekawego? Jakies kino, czy coś w tym stylu?

- Byliśmy oboje bardzo zmęczeni, Jeff.

- Chyba nie wracałeś do Bostonu, co? Mamó, nie j powiedziałaś mu, żeby przenocował?

Stephanie manipulowała broszką przy szyi. Wyglądała na spokojną. Nie było to łatwe, właśnie teraz, kiedy jeszcze ciągle była w szoku. Od jak dawna Jeff myślał, że mogą z Alexem zejść się z powrotem? Jak szybko uda jej się pozbyć

Alexa i przeprowadzić z synem szybką, stanowczą i, miała nadzieję, skuteczną rozmowę?

- Po południu przyjdzie nauczyciel, żeby ci zadać lekcje.

- No nie... mam. i

- Od wczoraj odebrałam ze czterysta telefonów od twoich kolegów. Barry, John, Checkers, Nate, Julie - co to za Julie? Powiedziałam im, że od jutra będą mogli cię odwiedzać. Po szkole, i nie na długo.

- A dzisiaj? Do jutra wszystkie siniaki mi poznikają! Myśl, która przerażała syna, była cichym marzeniem matki.

- Myrt nie będzie w tym tygodniu, ale ja zostanę w domu. Będę ci gotować twoje ulubione potrawy. Wyciągniemy grę w monopol. Mówiłeś, że powinnam nauczyć się grać na komputerze... Jak to się nazywa?

- „Ghostbusters”. Tato, ty też trochę zostaniesz, prawda? Możemy robić razem różne rzeczy. Oczywiście, nie musicie oboje stale przy mnie sterczeć - dodał delikatnie - nie jestem chory. Moglibyście wyskoczyć gdzieś razem na kolację, czy coś takiego.

Przed domem Stephanie zdołała tylko wyszeptać do Alexa „Co to wszystko znaczy?”. Następną godzinę była jednym pasmem absorbujących zajęć. Już przed wyjazdem do szpitala przystosowała pokój na parterze, aby Jeff mógł w nim zamieszkać na czas choroby. On jednak wolał swój własny pokój na górze. Chciał mieć wszystko pod ręką - książki, stereo i komputer. Alex przyniósł telewizor. Przez cały czas Jeff uśmiechał się do nich, zadowolony z magicznego efektu własnej działalności, widząc jak zgodnie razem pracują.

- Wspaniale, po prostu wspaniale - promieniał z radości. - Wy dwoje strasznie się kłóciliście, jak byłem mały, prawda? Teraz już nie. Nikt się już o nic nie spiera, zauważyliście? Wszyscy są naprawdę szczęśliwi...

- Matka - przerwał mu Alex - idzie na dół zaparzyć kawę.

Stephanie uciekła. Alex usiadł ciężko na brzegu łóżka.

- Rozmawiałaś już z mamą o psie?

- Nie.

- A o koszu do koszykówki?

- Stary - powiedział Alex z naciskiem - to my dwaj musimy ze sobą pogadać. Nie ja z twoją mamą.

Stephanie zażyła aspirynę. Piętnaście minut siedziała rozmyślając. W końcu spojrzała na zegar i stwierdziła, że nadszedł czas, żeby przygotować lunch dla Jeffa. Nakryła srebrną tacę. Jeff na pewno miałby ochotę na coś lekkiego. Może kruchą sałatę z plasterkami pysznego sera - o czym właściwie Alex z nim rozmawiał - pokroiła kromki chleba w sześciokąty. Jeff jako mały chłopiec uwielbiał maleńkie wymyślne kanapeczki.

Znalazła niewielkie niebieskie serwetki, które świetnie pasowały do kwiatków na porcelanie, przybrała szklanekę z mrożoną herbatą plasterkiem cytryny, a po chwili namysłu postawiła jeszcze niewielki niebieski wazonik. Zastawiona taca skusiłaby poszczącego mnicha. Wnosząc ją na górę, Stephanie przez chwilę znowu poczuła się zadowolona z siebie.

To co, że ubiegłej nocy o mały włos nie dała się uwieść byłemu mężowi, który przez te wszystkie lata nigdy nie dał po sobie poznać, że mu na niej choć odrobinę zależy. To co, że odkryła, iż jej czternastoletni syn marzył o ich pogodzeniu. Tym zajmie się później. Przede wszystkim jest matką, zwłaszcza teraz i... do licha, zawsze była i będzie dobrą matką.

Alex siedział zgarbiony na krześle przy łóżku Jeffa i rozdawał karty. Grali w pokera, obstawiając wykałaczkami. Stephanie przyglądała im się chwilę z dziwnym uczuciem. Byli do siebie tak podobni - te same gęste, ciemne loki przeczesane palcami, ten sam kosmyk z tyłu głowy, ten sam śmiertelnie poważny wyraz twarzy. Czegokolwiek miała dotyczyć ich poważna rozmowa, już się zakończyła i najwyraźniej ku zadowoleniu obydwu. Stephanie nigdy nie miała konfliktów z Jeffem, aż do chwili, gdy wszedł w wiek dojrzewania. Teraz

wydawało się, że ojciec i syn w naturalny sposób należeli do siebie. Najlepszym dowodem było to, że ona nigdy nie wpadła na pomysł zagrania z Jeffem w pokera. Nawet nie potrafiła.

- Jedzenie - powiedziała pogodnie. Ekstra. Jestem głodny jak wilk!

- Jeff odłożył karty, robiąc miejsce na kolanach. Rzucił okiem na tacę, a potem popatrzył na ojca.

Stephanie natychmiast pożałowała, że postawiła ten idiotyczny wazonik. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie powinna była kroić kanapek. Jeff nie był już dzieckiem. Będzie musiała o tym pamiętać. Problem w tym, że kiedy skończył czternaście lat, jednego dnia zachowywał się jak rozhukany dziewięciolatek, a następnego - jak dojrzały mężczyzna. Najlepszy jasnowidz nie byłby w stanie przewidzieć, w jakim nastroju obudzi się rano. Wszystko to prawda, ale w tej chwili niewiele jej to pomogło.

- Wygląda świetnie, co Jeff? - Alex ponaglił syna.

- Wspaniale. Po prostu wspaniale - Jeff szeroko uśmiechnął się do Stephanie.

- Jeśli masz ochotę na coś innego, kochanie... Myślałam, że nie zechcesz nic ciężkostrawnego, ale jeżeli jesteś bardzo głodny...

- Nie, to będzie w sam raz. Właśnie miałem ochotę na sałatę.

- Wiem, że kwiatek wygląda głupio, ale chciałam cię rozśmieszyć.

- Kwiatek jest piękny, mamó.

- To dobrze - dotknęła broszki i spojrzała w stronę Alexa. - Jak chcesz, mogę ci też coś przygotować...

- Nie trzeba. Właśnie powiedziałem Jeffowi, że chcę wyjść na parę godzin. Muszę się przebrać i załatwić kilka rzeczy w warsztacie...

- Ale wróci wieczorem, mamó. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? - w głosie Jeffa zabrzmiała ostrożna uprzejmość. Z pewnością dostał na ten temat pewne wskazówki.

- Oczywiście. Zgadzam się na wszystko, czego ty i twój ojciec sobie życzycie - będzie po prostu musiała zaopatrzyć się w większy zapas proszków od bólu głowy.

Alex wstał, a w pokoju jakby powiało chłodem. Nic szczególnego. Coś się jednak stało, kiedy dotknął jej ramienia. Poczwała się winna, -jak skarczone dziecko, które kradnie łakocie. No no, Stephanie.

Kropla wody draży skałę. Przez wszystkie te lata Alex mógł ją przypadkiem dotykać, lub nie - nie zwracała na to uwagi. Jednak od zeszłej nocy najlżejsze muśnięcie rozbudzało jej miłosne marzenia. Tym bardziej cudowne, im bardziej zakazane.

Alex szybko pożegnał się z Jeffem. Mocniej uściskał jej ramię. Stephanie zrozumiała, że Alex chce, żeby z nim wyszła. Kiedy odeszli od drzwi, położył jej obie dłonie na ramionach. Z pewnością coś było z nią nie w porządku, bo mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego oczach nateżony, intymny blask. Jego głos też zabrzmiał dziwnie łagodnie.

- Jeżeli masz się czuć skrępowana, nie przyjadę wieczorem.

- Ależ nic podobnego.

- Pewnie zatrzymam się w zajeździe na parę dni. Jeśli uda mi się załatwić kilka spraw dziś po południu, będę miał więcej czasu dla Jeffa. Odciążę cię trochę.

- Nie potrzebuję, żebyś mnie „odciążał”, ale możesz być z Jeffem, ile tylko zechcesz. Dobrze o tym wiesz, Alex. On uwielbia być z tobą.

- Chcesz, żebym sprowadził twój samochód spod szpitala?

- Mogę sama. - Zupełnie wyleciało jej to z głowy.

- Ja się tym zajmę.

Skinęła głową. Mógł robić, co mu się podobało, byle tylko zabrał ręce z jej ramion. I to zaraz. Byłoby głupio, gdyby się odsunęła. Przecież Alex stał tak blisko tylko po to, żeby Jeff ich nie usłyszał. I to przecież nie dlatego dreszcze przebiegły jej po plecach.

Zawsze była odporna. Ale to nie świadomość, że był dla niej atrakcyjny, tak ją denerwowała. Ludzie, którzy się nawet nie znają, mogą odczuwać do siebie pociąg fizyczny, ale to nie znaczy, że muszą się mu poddawać. Czują, że jest słaba, i wcale jej się to nie podobało.

- Boston?

- Mm? - pomyślała, że może będzie łatwiej, gdy zamiast w jego oczy spojrzy na usta. Błąd. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz kochali się w starym MG'53. Była to nie lada sztuka - kochać się na tych niewygodnych siedzeniach i mimo dźwigni biegów sterczącej w podłodze. W ogóle nie powinno to być możliwe. Ale to właśnie jego niebezpieczne oczy i usta sprawiły, że jednak to zrobiła. Pragnęła go tak bardzo, że niestety wszystko okazało się wykonalne i tak nieistotny szczegół jak moralność, czy niewygodny fotel nie miał najmniejszego znaczenia.

- Czy mogłabyś mnie uważnie wysłuchać?

- Skupiasz całą moją uwagę - zapewniła.

- Dobrze - powiedział w roztargnieniu. Dałby sobie rękę uciąć, żeby się dowiedzieć, dlaczego jej oczy zaszły mgłą. Co za kobieta!

Patrząc na nią podniecał się jak nastolatek. Problem w tym, że miał ochotę na znacznie więcej. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie mam z tym nic wspólnego. Chodzi mi o te aluzje Jeffa, żebyśmy znów byli razem.

- Nigdy nie twierdziłam, że masz.

- Na pewno poczułaś się okropnie niezręcznie...

- Ani przez chwilę nie czułam się niezręcznie - powiedziała bezbarwnie. - Jest teraz w trudnym wieku... ale przyszło mi na myśl, że jedno z nas powinno nauczyć go trochę taktu.

- Rozmawiałem z nim.

- To dobrze. Nie możemy mu pozwolić wygadywać takich głupstw. Czytałam gdzieś, że wszystkie dzieci z rozbitych małżeństw skrycie marzą, żeby ich rodzice ponownie byli razem, ale w naszym przypadku, to śmieszne...

- Z pewnością - jego ręce opadły z jej ramion. Szybko zaczerpnęła tchu, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale on już odwrócił się i zbiegł po schodach.

Z westchnieniem wróciła do pokoju Jeffa i siedziała w fotelu przy łóżku, aż skończył jeść.

- Nauczysz mnie grać w pokera? - spytała.

Jeff uniósł brwi ze zdumienia, ale przystał z wielkim entuzjazmem. Klepał znaczenia różnych układów tak j prędko, że ledwie nadążyla je zapamiętać.

- Ale jeśli chcesz w to dobrze grać, mam, to musisz bardzo się postarać nie myśleć jak dziewczyna. Wiesz, co mam na myśli?

- Postaram się.

- Chodzi o to, że niektóre dziewczyny myślą bardziej po babsku niż inne. Ty zawsze myślisz jak dziewczyna. Wiesz?

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale nie miała odwagi zapytać.

- Obstawiamy - jej syn zachowywał się tak, jakby urodził się w kasynie.

- Jedna wykałaczką.

- Obstawiasz jak dziewczyna, mam.

- No, to cztery wykałaczki.

- Teraz lepiej.

W chwilę potem wyłożyła na stół cztery trójki i zamarła w oczekiwaniu. Jeff wytrzeszczył oczy na karty, potem na nią.

- Więcej ci nie podpowiadam - powiedział stanowczo.

- Ty miałeś trzy króle, a ja tylko trójki. Pokręcił głową zrozpaczony.

- Obawiam się, że to nie jest gra dla ciebie. Spróbujmy w durnia.

Próbowali w durnia przez godzinę, aż Stephanie zauważyła, że Jeff się zmęczył. Odłożyła karty i zasunęła żaluzje, tak samo senna jak syn.

- Mam? - zawołał Jeff, gdy już była przy drzwiach. Obejrzała się z uśmiechem.

- Tata powiedział, że cię zdenerwowałem. Wtedy... przepraszam.

Gwałtowna fala uczuć targnęła jej duszą.

- Nic, co byś zrobił lub powiedział, mnie nie

denerwuje, kochanie. Nie masz za co przepraszać

- zawahała się, wiedząc, że powinna jeszcze coś powiedzieć. - Jeff... ja i twój ojciec nie jesteśmy wrogami. Nie dlatego się rozwiedliśmy. Ze względu na ciebie bardzo się cieszę, że przez ten tydzień będzie spędzał z tobą więcej czasu.

- Mamo... - Jeff nerwowo skubał brzeg kołdry.

- Powiedziałaś, że nie dlatego się rozwiedliście. No, to dlaczego?

Stephanie zaczerpnęła tchu, wróciła i przysiadła na brzegu łóżka.

- Już o tym kiedyś rozmawialiśmy, Jeff. Po prostu między dwójkiem ludzi nie zawsze wszystko się układa. Kiedy się pobraliśmy, byliśmy stanowczo zbyt młodzi i... pochodziliśmy z tak odmiennych środowisk.

- Ale nie jesteś już wściekła na tatę?

- Wściekła? - to pytanie ją zaskoczyło. - Nie, oczywiście, że nie. Oboje jesteśmy winni temu, co się wydarzyło. Tak samo ja, jak i twój ojciec...

- Ale lubisz tatę?

- No... tak. Można powiedzieć, że lubię twojego ojca.

- A... czy nadal go kochasz?

Otworzyła usta, żeby dać jasną i oczywistą odpowiedź, ale to wcale nie było proste pytanie. Rzeczywiście, czy nadal kochała Alexa?

Odeszła od niego, opuściła go, ponieważ miała siedemnaście lat, była w siódmym miesiącu ciąży i okropnie się bała.

Poznała go w Bostonie. Jej ojciec był wtedy profesorem na uniwersytecie. Will Randolph od pierwszej chwili go nie lubił, co jeszcze bardziej pobudzało jej pragnienie przeżycia zakazanego romansu. Alex uosabiał wszystko, co niedozwolone - poczynając od czarnej skórzanej kurtki, na pozie silnego faceta kończąc. Był typem robota, którego guzik obchodziły książki i intelektualiści. Stephanie do chwili poznania go wiodła życie pod kloszem, nudne życie córki profesora, który posiadał spory majątek, gwarantujący jej wszystko, czego zapragnęła. Spojrzała raz na Alexa i odrzuciła to wszystko. Alex oznaczał dla

niej życie. I śmiech. I hałas, i seks, niebezpieczeństwo i dobrą zabawę, i koktaile Boston Coolers w gorące letnie popołudnia.

Nagle jej głowa zawirowała od wspomnień. Stephanie wpatrywała się w syna, ale widziała siedemnastoletniego Alexa. Byli w kuchni. Była noc. Siedziała przy stole, a on pochylał się nad nią. Miał zmęczoną, biedną twarz, oczy pałające rozpaczą. Twoje miejsce jest przy mnie. Wróć ze mną do domu, Boston. Przecież mnie kochasz. Jeżeli choć raz powiesz, że mnie nie kochasz, zostawię cię w spokoju... Nie Kocham cię, Alex.

Tylko, że to nie była prawda. Kochała go bardzo, nawet kiedy patrzyła, jak odchodzi.

Po prostu sama miłość nie wystarczyła, zwłaszcza gdy świat zaczął się wtrącać. Nie mieli grosza, a Alex był taki drażliwy we wszystkim, co dotyczyło pieniędzy. Jej kosztowne prezenty ślubne, odziedziczone kryształy i ręcznie zdobiona porcelana... Alex odrzucił to wszystko. Uparcie nalegał, żeby nie zabierała nic z domu ojca; z drugiej strony gdyby nie Will Randolph, nie zawsze mieliby co włożyć do garnka.

Ale nie o pieniądze martwiła się najbardziej. Rodzina Alexa stanowiła zamknięty klan. Ona zawsze była obca. Alex kończył wieczorową szkołę, a cały dzień praktykował u mechanika. Spędzali więc razem mało czasu. Stephanie nie miała do kogo się zwrócić poza własnym ojcem, który nigdy nie omieszkał przypomnieć jej, z czego zrezygnowała - nie tylko ze szkoły dla siebie, ale i z przyszłości dla swego dziecka.

Kochała Alexa, ale czuła się zagubiona i samotna, i była w ciąży. Alex spodziewał się, że będzie umiała poczekać. Chciał, żeby uwierzyła, że kiedyś da jej lepsze życie. Ale dziecko miało urodzić się bardzo prędko, a ojciec nalegał, żeby wróciła do domu chociaż na jakiś czas. Zaangażuje nianię, ona powinna pójść do szkoły, dziecko będzie miało jak najlepszą opiekę. To nie własne ubóstwo ją pokonało, ale myśl

o tym, czego musiałyby odmówić dziecku. Może

i wiedziała, że kiedy wróci do domu, Alex nigdy nie przeprowadzi się tam razem z nią. Nienawidził Willa Randolpha od chwili, gdy ten starał się unieważnić ich małżeństwo.

Nie słuchaj go, Boston. Mnie też nie słuchaj. Do diabła... posłuchaj swojego serca. Nie możesz zawsze ukrywać swoich uczuć. Czy ty w ogóle wiesz, co to jest uczciwość?

Wiedziała. Głęboko zajrzała w swoje serce i wiedziała. Alex nie kochał jej. Miał gorącą krew, ona sama była najbardziej chętna ze wszystkich panienek i... stało się.

Dla niej - to była miłość. Dla niego - seks. Wróciła do domu ojca, a Alex przychodził po nią. Noc po nocy, noc po nocy. Przestał, kiedy mu powiedziała, że go nie kocha. Właściwie nie miała z tym żadnych trudności, zwłaszcza po tym jak ojciec powiedział jej, że widział Alexa prowadzącego do ich mieszkania nad garażem jakąś rudą dziewczynę.

Jeden jedyny raz wtedy, przed laty Stephanie uczciwie wyraziła swoje uczucia. Od tamtego czasu wołała zostawić je w spokoju, bezpiecznie upchnięte po kątach serca i umysłu. Wiedziała, iż Alex nigdy jej nie wybaczył, że go opuściła, że zwątpiła w niego. Zraniła jego dumę, uwierzył, że pieniądze były dla niej ważniejsze od jego miłości.

Ale i jej duma została urażona. Gdyby cała sytuacja jeszcze raz się powtórzyła, znów postąpiłaby tak samo. Tak, Alex pragnął jej fizycznie, ale także chciał być dumnym posiadaczem Bostońskiego Bramina. Pragnął kobiety z klasą, którą sam sobie wymyślił.

W siódmym miesiącu ciąży wcale nie czuła się jak dama. Była niezgrabna i brzydka. Bała się urodzić dziecko, które musiałoby głodować. I była absolutnie pewna, że Alex jej nie kocha. Ta ruda była ostatnią kroplą...

- Mamo?

Stephanie zmieszana uśmiechnęła się do syna.

- Nie odpowiedziałaś. Czy jeszcze kochasz tatę? Wstała z łóżka i pochyliła się nad nim, żeby go

otulić kołdrą. Może sobie i miał czternaście lat, ten jej prawie mężczyzna, ale czasem, kiedy był senny, wyglądał jak aniołek.

- Miałam kiedyś kotka - powiedziała cicho. - Tylko przez kilka miesięcy, a potem przejechał go samochód. Uwielbiałam go, Jeff. Gdybyś mnie teraz zapytał, czy go kocham, powiedziałabym, że tak. I naprawdę tak jest... Ale nie ma to większego znaczenia, bo już go nie ma. Nie można odwrócić kolei rzeczy. Rozumiesz to?

- Jasne.

Jeff ziewnął. Miała wrażenie, że nic a nic nie rozumiał. Przynajmniej w tej chwili nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Wyszła na palcach z pokoju. Kiedy już uporowała się z naczyniami, włożyła kurtkę i wyszła do ogrodu.

Chłodne powietrze podziałało na nią odświeżająco. Jesienne słońce przebijało się przez czerwone i rdzawe liście. Zaczynały już spadać. Będzie musiała sama je zgrabić.

Nie cierpiała grabienia.

Stephanie zamknęła oczy, kilka razy wdychała głęboko chłodne powietrze. Była wyczerpana, ale nagle i zmęczenie stało się przyjemnością. Życie, które zgotowała dla siebie i Jeffa było przyjemne. Nieraz potykała się i nieraz było jej ciężko, ale dawała sobie radę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapomniała o czekającej ją pracy w ogrodzie. Ubiegłej nocy pragnęła Alexa. Może zawsze go pragnęła i może już nigdy nie przestanie go pragnąć. Ale nie jest już naiwną siedemnastoletnią panią, która tak bardzo pożałowała pieszczot w samochodzie. j

Alex też może jeszcze dalej jej pragnie, ale nagły przypływ pożądania nigdy nie zatrze tamtej starej rany, którą zadała jego dumie. Jego zdaniem opuściła go dla pieniędzy. Okazało się, że jego Bostoński Bramin nie zna głębszych uczuć.

Twardy facet, w którym się zakochała, taki właśnie był - gruboskórny i nieczuły.

Urok zakazanego owocu... ten urok miał niezwykłą moc. Był niebezpieczny.

Ale ona już się mu nie podda.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Zaraz, zaraz... Co my tu mamy? Boardwalk... plus jeden hotel... Jesteś mi winien dwa tysiące dolarów.

- Mamo - Jeff miał nogę opartą wysoko na poduszkach. Dołożył wszelkich starań, żeby wyglądać na ciężko chorego. - Nie zapominaj, że jestem twoim jedynym synem i do tego kaleką!

- W tej chwili jestem raczej skłonna pamiętać, ile razy nie chciało ci się sprzątać pokoju. Dwa tysiączki, spryciarzu!

- Obawiam się, że nie jesteś w stanie mi pożyczyć... Jeff zerknął na ojca.

Alex potrząsnął głową. Rozparty wygodnie w fotelu, opierał stopę na nocnym stoliku. - Ta pani oskubała mnie dokładnie, kiedy ostatnio wylądowałem na Park Place.

- Cholerka - westchnął Jeff. - Dobra, mam, w tej sytuacji proponuję ci wszystkie cztery koleje.

- Które są warte raptem osiemset? Jeszcze ci daleko do dwóch tysięcy!

- Ale za to dają stały dochód - zachwalał Jeff.

- Mowa - trawa.

W końcu Stephanie przystała oczywiście na tę propozycję. Nawet, jeżeli jej syn był kiepskim handlowcem, to najwyraźniej świetnie się bawił, a to już wystarczyło, żeby i ona czuła się najszczęśliwsza. Niezależnie od tego, czy Alex był w pobliżu, czy też nie.

Właściwie okazało się, że Alex nawet się przydaje. Po powrocie z Bostonu śmiał się częściej i bardziej swobodnie.

W ciągu dnia opuchlizna na nodze Jeffa powiększyła się, co zresztą zapowiadał lekarz, ale za to po pojawieniu się ojca kwaśny nastrój Jeffa zniknął jak ręką odjął.

- North Carolina Avenue - powiedział Alex, kiedy Stephanie wyrzuciła dwójkę.

- Będzie cię to kosztowało tysiąc dwieście siedemdziesiąt pięć.

- Dobrze wiesz, że zarobiłeś na mnie ostatnim razem - gderła.

Osiągnęli już ten poziom gry, kiedy wszyscy mieli jakieś posiadłości, ale brakowało im gotówki. Oczy Alexa zabłyśły. Był ciekaw, co Stephanie mu zaproponuje.

Wróciwszy z Bostonu znalazł ją na ostatnich nogach, wyczerpaną ciągłymi próbami odgadnięcia każdej zachcianki Jeffa, zaproponował więc grę, żeby nie musiała już więcej dreptać. Zupełnie nie spodziewał się, że będzie miał z tego taką frajdę. Głównie i niespodziewanie - z powodu własnej byłej żony.

Siedziała sztywno na kanapie, jakby za chwilę miała podejmować herbatą angielską królową, ale niesforne pasemko włosów, które wymknęło się z grubego węzła na karku, kusząco wilo się po policzku, a lekki szal doskonale dopasowany do rdzawych wełnianych spodni interesująco się rozchyłał. Zdecydowanie Stephanie była najpiękniejszym znanym mu handlowcem! Gdyby nie był zupełnie odporny na jej wdzięki... Ale w drodze do Bostonu i z powrotem dokładnie przypomniał sobie, dlaczego był odporny. Stephanie była niebezpieczna, kiedy przestawała kontrolować swoje zachowanie i pokazywała praw-

dziwę oblicze. Mogła na przykład wyznać miłość, nie mając do człowieka cienia zaufania. Ta kobieta kiedyś zawładnęła jego uczuciami, porwała je na strzępy i odłożyła, żeby sobie przeszły.

A jednak stare animozje i gorycz minęły. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy targowała się o Boardwalk. Była w tym jakaś ironia losu - mieszkała przecież na Park Lane. Pasowało to do niej jak ulał. Zastanawiał się teraz, jak kiedyś mógł mieć nadzieję, że będzie mogła żyć w tanim mieszkanku nad garażem tylko z powodu takiej drobnostki jak miłość. Cóż, tak czy inaczej - miał to już z głowy. Może pozostała w nim szczypta dawnej niechęci. Nie myślał teraz o miłości - obserwował tylko, jak z determinacją broni wszystkiego, co posiada.

Stephanie odchrząknęła dyskretnie, świadoma iż Jeff spodziewa się, że będzie równie zabawna w targach z Alexem.

- Mam zamiar złożyć ci propozycję nie od odrzucenia - zaczęła.

- Słucham.

- Po pierwsze - te nieprzyzwoicie lukratywne koleje, które dopiero co zdobyłam dla ciebie od Jeffa - rzuciła mu kuszące spojrzenie spod rzęs. - I... darmowe przejazdy przez Boardwalk.

- Darmowy przejazd?

- To znaczy - wtrącił się Jeff - że możesz zatrzymać się na Boardwalk bez płacenia czynszu.

- Za każdym razem i tak tu lądujesz - powiedziała Stephanie tonem łagodnej perswazji.

Tak jakby za każdym razem miał się nabierać na zwodnicze błękitne oczy! Alex musiał ratować skórę.

- Wolałbym gotówkę.

- Sprzedam ci jeszcze prawo realizowania karty Jail Free plus dwieście dolarów.

- Słucham dalej.

- I specjalnie pójdę na dół po piwo dla ciebie. Oto moja ostateczna oferta.

- Uważaj, tato. - Jeff zachichotał. - Zdziwisz się, czym ona potrafi handlować, jak robi się krótko z forszą - wynoszenie śmieci, sprzątanie, kolacja u McDonalda...

Pocałunki? Alex był myślami nieobecny. Do licha, dlaczego nie mógł przestać o niej rozmyślać. Była marionetką ojca. Tego jej nie zapomniał. Kłopot miał tylko z własnymi reakcjami na te nieposłuszne kosmyki włosów, niedbały szal i błękitne cienie pod oczami.

Zawsze, kiedy była zmęczona, wyglądała tak krucho i delikatnie. Kiedyś wierzył, że zawsze będzie potrzebowała jego objęć, miłości, ochrony w trudnych chwilach. Już jako dzieciak wiedział, że nie ma wystarczających pieniędzy, ale łudził się, że miał dla niej coś ważniejszego. Myślał, że Stephanie potrzebuje kogoś, kto nauczyłby ją kochać i okazywać uczucia. Bzdura. Ta kobieta była z kamienia. Każdy, kto miał czelność używać w interesach takich argumentów, jak ona przed chwilą, był w stanie znieść wszystkie przeciwności.

- No więc? - przynagliła. - Co powiesz?

- Myślę - powiedział wolno - że twoja oferta nie jest warta funta kłaków. Gdybyś natomiast zeszła na dół i zrobiła mi boston coolera...

Nie powiedział tego, żeby jej zrobić na złość, ale zauważył w jej spojrzeniu pewną zmianę. Boston Cooler... drink z ciemnego piwa i lodów. Oczywiście to nie oni go wymyślili, ale kiedyś tak im się wydawało.

Oczy Stephanie nagle nabrały odcienia wysokiego nieba. Oboje powrócili pamięcią do najśłodszych, najbardziej intymnych chwil. Stephanie otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale przez dłuższą chwilę nie mówiła nic.

- Mama też uwielbia boston coolera - wykrzyknął zachwycony Jeff.

Stephanie ocknęła się i spojrzała na syna. - Jesteś zmęczony, złotko? To widać.

Uprzągnięcie gry zajęło jej parę sekund. Alex poszedł z Jeffem do łazienki na wypadek, gdyby chodzenie o kulach dalej było trudne. Rozmawiali, a ona

sprzątała szklanki. Mimo że nie mogła ich podsłuchiwać, rozmowa urwała się, kiedy położył się do łóżka.

- Dobranoc, stary.

- Dobranoc, tato.

- Jeżeli będziesz czegoś potrzebował... w ostatniej chwili Stephanie odwróciła się.

- Wszystko będzie dobrze, mamuś. Idź na dół z tatą. Jeff? pomyślała. Czy to kolejna z twoich subtelnych aluzji?

Alex czekał na nią w kuchni. Jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą nerwowo przeczesywał włosy. Wkładając naczynia do zmywarki, czekała na jego słowa. W końcu odwróciła się.

- To nie może być aż tak trudne do wyrażenia...

- Jest parę rzeczy, o których chciałbym z tobą pomówić.

- Domyśliłam się - odwróciła się plecami. - Chcesz boston coolera?

- Nie. A ty chcesz chwilę posiedzieć na ganku?

- Dobra - chwyciła w locie żakiet i prześliznęła się pod jego ramieniem przytrzymującym drzwi.

Światło księżyca spływało jasnym, srebrnym strumieniem i połyskiwało w mokrej od rosy trawie. Stephanie usiadła na najwyższym stopniu schodów i obserwowała biały ogon królika znikający w ogrodzie sąsiadów. Alex przysiadł obok niej, opierając łokcie na kolanach. Patrzył przed siebie.

- Na pewno źle to odbierzesz - zaczął.

Nie byłoby to nic nowego, ale z niewiadomych przyczyn Stephanie uspokoiła się. Może dlatego, że Alex był zdenerwowany. On się przecież nigdy nie denerwował. Alex patrzył życiu prosto w oczy tak odważnie, prawie brawurowo, był uczciwy aż do bólu i nigdy nie owijał niczego w bawełnę. Teraz najwyraźniej też miał taki zamiar.

- Steph, jakieś dwa lata temu doszliśmy do wniosku, że czas porozmawiać z Jeffem o pewnych sprawach. Zabrałaś się do tego pierwsza, jak rozumiem, żeby przynajmniej miał jakieś takie pojęcie, o co chodzi, zanim w gronie dzieciaków zaczną sobie opowiadać to, co zwykle.

Jedynym tematem, którego się nie spodziewała, był seks, ale jeśli chodziło o seksualne wychowanie ich syna, nie miała żadnych oporów. Nigdy nie uważała, że tylko ojcowie powinni omawiać te sprawy z chłopcami.

- Niestety - ciągnął dalej Alex chrząkając z zakłopotaniem. - Musiałaś wtedy coś pominąć albo dopiero niedawno mu o tym powiedziałaś.

- Co takiego?

- Boston - Alex popatrzył w gwiazdy, szukając w nich odpowiednich słów. - Okropnie go wystraszyłaś. On czuje, że przepuścił coś bardzo ważnego...

Chciała, żeby spojrzał na nią, ale najwyraźniej unikał jej spojrzenia.

- Na litość boską, o czym ty mówisz? - zapytała w końcu.

- Nie denerwuj się. W końcu nie wychowywałaś się w domu pełnym braci. Nie możesz się na tym znać. Chwała ci za to, że w ogóle poruszyłaś ten temat. Powiedziałaś, że to jest w porządku i tak dalej... Nie krytykuję cię.

- To bardzo miło z twojej strony. Byłoby jeszcze milej, gdybym mogła się jeszcze dowiedzieć, o czym ty mówisz...

- Zmazy nocne.

- Aha!

Głos Alexa zachryplł, ponieważ był poirytowany własną niezręcznością. Mężczyźni powinni dawać sobie lepiej radę z takimi sprawami.

- Stephanie, tylko kobieta mogła to tak nazwać. Mówi się „wilgotne sny”. Gdybyś tak powiedziała, Jeff od razu wiedziałby, o co chodzi. Już dawno mu to wyjaśniłem - rzucił ukradkowe spojrzenie, ale zasłaniała ręką usta, więc nie mógł zobaczyć jej miny.

- Boston?

Wstała odwracając się do niego plecami. Wydało mu się, że drżały.

- Boston?

Zacząła coś mówić, ale wybuchnęła tłumionym dotąd śmiechem. Alex był taki przerażony!

- Pieluszki - mówiła głosem pełnym udawanej rozpacz. - Pieluszki pierwsza klasa i rozkład zajęć - udało mi się jakoś przeżyć, Alex. Nawet z seksem dałam sobie radę. Organy męskie i żeńskie, i system wartości, i uczucia, i hormony - z tym sobie radzę. Dopiero w tym roku wszystko tak się okropnie pogmatwało - załamala ręce. - Alex, po prostu nie jestem przygotowana do roli matki dorastającego mężczyzny. Ciągle wszystko mi się myli.

Oparł brodę na dłoni i przyglądał się jej. - Myślę, że diabelnie dobrze sobie radzisz - bąknął niewyraźnie, czując jak śmiech wzbiera mu w gardle na widok tak całkowicie sfrustrowanej kobiecości.

- Och nie, wcale nie. Nocne marzenia, czy jak im tam - to tylko drobny szczegół. Ale, do licha, nie uczą o tym w szkole dla panienek. Ale najgorsze... najgorsze... - im bardziej ponuro przemawiała, tym serdeczniej się śmiał. Alex zawsze śmiał się tak zaraźliwie, a zwłaszcza kiedy za wszelką cenę chciał tego uniknąć.

- Najgorsze ze wszystkiego są te pasy. Nie wiem, do czego służą. Z pewnością zabezpieczają - potrząsnęła głową i wybuchnęła śmiechem do wtóru Alexowi. - Próbowałam, przysięgam, tak okropnie się starałam, ale nie mam zielonego pojęcia, co mężczyzna powinien mieć na sobie uprawiając różne sporty. Czy chłopiec ma mieć ten sam strój do tenisa co do Frisbee? Błagam cię, porozmawiaj z nim.

Alex już to dawno zrobił. W tej chwili obserwował z mieszaniną rozbawienia i zaskoczenia swoją byłą żonę, która zawsze przywiązywała do manier ogromną wagę, jak z rozbijającą szczerością omawia sprawę ochraniaczy tak głośno, że mogą ją słyszeć wszyscy sąsiedzi. Boston nie tylko się z tego śmiała, ale wręcz śmiała się z samej siebie. Nigdy dotąd tego nie robiła.

W świetle księżycy jej skóra była tak delikatna, że aż przejrzysta i... nieskończenie pociągająca. Makijaż dawno się starł. - Alex pamiętał, że Stephanie zawsze starała się maskować swoją naturalną bladość.

Nagle uświadomił sobie, że całe jej ciało było gładkie i delikatne. Białe, kruche i zwodnicze jak księżycowa poświata. Nastrój Alexa zmienił się zupełnie, ale dalej starał się śmiać razem z nią.

- Nie myślałam, że kiedyś będę musiała zrezygnować z jakiejś części wychowania własnego dziecka, ale od tej chwili masz całkowicie wolną rękę we wszystkich takich sprawach - zapewniła.

- Hej...

- Żadne „hej”.

- Chciałem tylko wtrącić, że doskonale sobie ze wszystkim radzisz. I dobrze o tym wiesz.

- Tak było kiedyś, Alex. A przynajmniej wydawało mi się, że jestem dobrą matką, ale teraz...

- Nie ma żadnego „ale”. Żadnych zastrzeżeń. Cóż to, Boston? Jesteś cholernie dobrą matką. Nie powinnaś w to wątpić.

A to co znowu - komplementy!?! Jej śmiech nie zamarł, raczej zanikał stopniowo jak mgła o poranku między drzewami. Alex może nie był dla niej ani wrogiem, ani przyjacielem, ale nie dało się zaprzeczyć, że pewne sprawy mogła dzielić tylko z nim. Przy nim wątpliwości znikwały, a z kim w końcu miała rozmawiać o wychowaniu dorastającego syna, jak nie z jego ojcem? Poza wszystkim Alex sam był zmysłowym mężczyzną pozbawionym fałszywego wstydu.

- Musimy przejść od ochraniaczy do psa - powiedział opierając rękę na zgiętym kolanie.

- Nie widzę związku.

- Ale nasz syn - widzi.

- Pies - powtórzyła jak echo.

- Po pierwsze wymyślił sobie, że to ty musisz mieć psa. Nie wyjeżdżasz zbyt daleko, ale jako prowadząca aukcje często wracasz po zmroku. Jeff jest już w tym wieku, że od czasu do czasu wychodzi do kina, a ty zostajesz sama.

Twarz Alexa oświetlona światłem księżyca składała się z kontrastów czerni i bieli. Nie postarzał się - pomyślała - raczej dojrzał. Miał siatkę drobnych zmarszczek wokół oczu. Kiedy był młodszy, bardzo mu zależało, żeby wyglądać na twardego faceta. A teraz - uświadomiła sobie - był twardy. Twardy i nieprzenikniony.

- Nie potrzebuję żadnej opieki, nawet psa - zapewniła.

- On uważa, że potrzebujesz. Jego zdaniem potrzebny ci airedale terrier - westchnął. - Posłuchaj Steph, wiem, że nie chcesz mieć psa. Z jednej strony ciebie i Jeffa nie ma całymi dniami. Z drugiej strony, ta twoja gosposia... a do tego jeszcze masz białe dywany...

- Pić mi się chce - powiedziała, zrywając się z miejsca. Powiesiła kurtkę w garderobie, weszła do kuchni i bezwiednie zaczęła wkładać kulki lodów do szklanek z ciemnym piwem. Boston cooler...

- Musiałabyś płacić weterynarzom - ciągnął Alex.

- Masz wszędzie porzastawiane te kosztowne cacka. Zwłaszcza przy airedalu... To nie jest mały pies. Jeden ruch ogonem i zostawia za sobą skorupy... Powiedziałem Jeffowi, że nie zechcesz mieć psa...

- Nie widzę powodu, dlaczego miałabym nie chcieć

- powiedziała podając mu szklankę.

Ciemne oczy popatrzyły na nią uważnie. Właśnie wymienił z pół tuzina takich powodów. - A do tego nie lubisz psów - dodał od niechcienia.

- Całe życie chciałam mieć psa - powiedziała w zamyśleniu. - Lubię koty, to prawda, ale zawsze chciałam mieć psa.

- Obiecałem Jeffowi, że z tobą pogadam, ale nie myśl, że cię namawiam. Nawet nie zgadzam się z Jeffem. Ale obiecałem, więc mówię.

- Dotrzymałeś słowa. A ja zdobędę dla niego psa. Jeżeli to możliwe - choćby jutro!

W kuchni paliło się tylko światło nad zlewem. Twarz Alexa była ukryta w cieniu, a jednak czuła, że jej się przygląda. Było jej jakoś nieswojo. Przenikało ją poczucie bliskości mężczyzny, którego nigdy nie doświadczyła z innym i którego nie miała najmniejszej ochoty doświadczać z nim teraz.

- Alex, pies nie jest taki ważny - powiedziała lekko. Nie odpowiedział. Dalej czuła na sobie jego wzrok i nagle wytrąciło ją to z równowagi. Postąpiła wbrew własnej naturze rozśmieszając go. Niezgodne z jej zasadami było to, że widział ją bez makijażu i nic a nic sobie z tego nie robiła, i także dziwne było to, że chciała mieć psa. Wystarczająco długo zachowywała się wbrew sobie z powodu byłego męża. Rozzłościło ją to.

- To jest waterford - powiedziała wskazując szklanekę w jego rękę. - Wiedziałeś o tym?

- Nie.

- Zawsze pijesz u mnie z kryształowych szklanek. Czy wiesz dlaczego, Alex?

Nie odpowiedział. Zrobiła więc to sama. - Powiem ci! Dlatego, że zawsze patrzyłeś na te kryształy, jakby to było błoto. Zawsze cię irytowały! Kiedy się pobraliśmy, przywiozłam do domu te kryształy a także porcelanę i srebra. Nienawidziłeś ich, Alex!

Dalej patrzył na nią w milczeniu.

- Do diabła z tobą - powiedziała cicho. - Taki ukryty snob. Myślałeś, że to ja jestem snobką. Przez myśl ci nie przeszło, że te rzeczy - to wszystko, co mi zostało po matce, której nawet nie znałam. I do cholery, nie muszę tego nikomu tłumaczyć! Ani teraz, ani nigdy! Po prostu były... były mojej matki. Tak, miałeś rację, że są dla mnie cenne. Taki byłeś pewny, że cenię rzeczy dla nich samych! Myślałeś, że wszystko o mnie wiesz. Do cholery, nawet jej nie znałam. Miałam tylko te przedmioty...

Szklanka stuknęła o stół. Mówiła tak spokojnie, że nie przyszło jej do głowy, że wywoła awanturę. Słyszała jego kroki, chociaż nie mogła go widzieć przez łyż, z którymi starała się walczyć wszelkimi siłami. Była taka zmęczona. Zeszłej nocy nie zmrużyła oka. Gdyby nie to, nigdy nie wspomniałaby nawet słowem...

Ale to jeszcze nie powód, żeby robić awanturę.

Alex objął ją nagle, a jego wargi zamknęły jej usta. Było w tym geście tyle różnych emocji! Był zły - wyczuwała to - a kiedy się złościł, potrafił być niebezpieczny.

- Do licha - wyszeptał. - Dlaczego mi nigdy nie opowiedziałś o swojej matce? Dlaczego nigdy nie mówiłaś, że chcesz mieć psa. Myślisz, że nie dałbym ci stu psów?! - pieścił wargami jej usta, a ręce zacisnął na jej ramionach tak mocno, jakby za chwilę miał nią z całej siły potrząsnąć... Ale nie zrobił tego. Przeciwnie - jego palce nagle stały się delikatne, łagodnie ugniatały jej ramiona, potem przesunęły się wzdłuż jej ramion, wplotły we włosy.

Czuła smak drinka na jego języku. I czuła coś więcej - coś słodkiego, gorącego i bardzo przyjemnego.

Pocałunki kołysły i domagały się następnych pieszczot. Spowijały ją bladymi oparami słabości. Dotknął delikatnie jej czulego miejsca w zagłębieniu obojczyka, przesunął wargami po muszelce ucha. Nagle poczuła, że jej własny sweter pali ciało. I zaraz jego dłonie pospieszyły na ratunek, łagodząc chłodnym dotykiem te miejsca, które chciała, aby dotykał.

Zawsze to wiedział, a kiedy przyciągnął ją do siebie, była mu posłuszna. Zamknął ją w ramionach. Jak zawsze.

- Alex... - zadrżała. Stephanie odwróciła głowę, aby uciec przed następnymi pocałunkami, ale zamiast się odsunąć, ukryła twarz na jego ramieniu, przytuliła się mocniej. Twarda jak skała pierś była tak znajoma i bliska. Dawała ukojenie. Jej piersi były napięte, ale bezpieczne w jego twardym uścisku. Już wiedziała, że nie spadnie głową w przepaść. Przynajmniej tak długo, jak on będzie trzymał ją w ramionach. Dłoń Alexa wysunęła się spod jej swetra. Wygladził go

starannie ciągle ją obejmując i nie odrywając warg od jej słodko pachnących włosów.

Wreszcie uniosła ku niemu oczy ocienione długimi rzęsami. Była blada.

- Co się z nami dzieje? - wyszeptała.

- Nie wiem. - Niewiele go to w tej chwili obchodziło. Zburzył jej włosy. Kochał jej włosy wtedy, gdy sam nadawał im kształt. Szpilki powypadały i cieniutkie pasemka rozsypały się wokół skroni. Odgarnął je do tyłu łagodnym gestem. Jego serce biło szybciej niż jej. Poczul się zraniony do żywego.

- Jesteśmy już za mądrzy... - wyszeptała nieszczęśliwym głosem.

- Tak.

- Przez te wszystkie lata, nigdy dotąd...

- Tak.

- Alex, to wcale nie znaczy, że dalej ci na mnie zależy - westchnęła i odsunęła się.

Dłoń, która miała wygładzić jej włosy, zawisła w powietrzu i opadła bezradnie. Jego oczy pociemniały nagle jak noc. Przyglądał jej się uważnie. Instynkt podpowiedział mu, że to bardzo ważne, aby dalej wierzyła, że tak jest istotnie.

- Będziemy musieli uważać, żeby to się więcej nie powtórzyło - powiedział cicho nie odrywając od niej wzroku.

- Przecież oboje jesteśmy już znacznie mądrzejsi

- powtórzyła splatając ręce na piersi. Roztarta ramiona, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

Odwrócił się, sięgnął po kurtkę i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się jednak na chwilę. - Boston

- powiedział cicho. - Poza nami nie ma tu nikogo. Nikt się nie dowie, że kilka razy się pocałowaliśmy. Nie martw się tym za bardzo.

Chwyła się wymówki jak tonący brzytwy. -I oboje jesteśmy przemęczeni z powodu Jeffa.

Nie powiedział tego głośno, ale jego zdaniem Jeff miał niewiele wspólnego z tym, co się między nimi wydarzyło. Sięgnął do kieszeni po kluczyki. Był już najwyższy czas, ale nie chciał zostawiać jej samej w kiepskim nastroju.

- Airedale - przypomniał sobie nagle. Wywołał słaby uśmiech, który tak pragnął zobaczyć.

Odpreżyła się, potrząsnęła głową. - Zupełnie zapomniałam o psie.

- Przemyśl to sobie przez noc. Jeżeli rano dalej będziesz miała ochotę, zabiorę cię na psie zakupy.

Obserwowała światła jego samochodu przez okno aż do chwili, kiedy już nic nie było widać. Zegar kuchenny tykał głośno. Przycisnęła czoło do szyby, zaniknęła oczy, a po chwili na jej ustach zakwitł uśmiech.

To prawda, że to wszystko było cholernie głupie, ale - jak powiedział Alex - nie posunęli się za daleko. Tak naprawdę rzadko się zgadzali w życiowych sprawach. Śmieszne, że akurat w tej kwestii udało im się porozumieć.

- Bardzo dziękuję, tato, że przyszedłeś - Stephanie zarzuciła ręce na szyję Willa Randolpha, kiedy tylko pojawił się w kuchni. Chudy i wysoki, ubierał się jak na profesora ekonomii przystało - w starą tweedową marynarkę i flanelowe spodnie. Cofnęła się o krok, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Dobiegał już sześćdziesiątki, a ciągle za mało dbał o zdrowie. Zmarszczki wokół oczu wyraźnie świadczyły o długich godzinach ślęczenia nad książkami, ale dziś rano miał policzki zaróżowione jak jabłuszko. Szybki spacer dobrze mu zrobił.

- Cieszę się, że nie mam akurat żadnych wykładów. Możesz spokojnie wyjść. Jak się miewa mały?

- Doskonale. Trudno go utrzymać w łóżku. Jeszcze przez parę dni powinien poleżeć, żeby noga nie puchła, ale można mu to powtarzać w kółko. Nic sobie z tego nie robi. Zrobię ci kawę.

- Sam sobie zrobię. A dokąd to się właściwie wybierasz?

Kiedy nalewał sobie kawy, Stephanie sięgnęła do garderoby po zamszową kurtkę. - Po psa - zapięła suwak i zawiązała chusteczkę na szyi. - Jeff na pewno

dałby sobie sam radę, ale czułabym się niespokojna zostawiając go samego.

Zresztą do schroniska dla

72 ślub po latach

zwierząt jest spory kawałek drogi, a Jeffowi wydaje się, że może już poruszać się o kulach jak Barysznikow. Skoro nie miałeś nic przeciw temu...

- Pies - Will wymówił to słowo w taki sposób, jakby był zmuszony używać brzydkich wyrazów w towarzystwie dam.

Stephanie знаła ten ton doskonale. Kiedy była dzieckiem, ojciec nigdy na nią nie krzyczał ani nie dawał jej klapsów. I tak czuła się ukarana, kiedy przemawiał do niej tonem, który oznaczał, że się na niej zawiódł. Wtedy uważała to za przestępstwo gorsze od morderstwa. Była całą jego rodziną, jedyną ostoją jego samotności i zawsze zdawała sobie z tego sprawę. Kochała go równie mocno jak on ją. Jednak dzisiaj jego karcący ton nie miał dla niej najmniejszego znaczenia. Nic nie zdołało zakłócić jej spokoju. Od rana bez wyraźnego powodu była w szampańskim nastroju i nic nie mogło go zepsuć.

Uśmiechała się radośnie, kiedy powtórzyła z naciskiem - Tak, pies.

- Nie uważasz, że Jeff już wyrósł z „wieku zwierzęcego”?

- Tak.

- Zdajesz sobie sprawę, ile zwierzę wymaga pracy, i że to wszystko spadnie na ciebie? Pracując zawodowo i wychowując Jeffa, i tak masz pełne ręce...

- Oczywiście, masz rację - zgodziła się ochoczo.

- Kot przynajmniej jest czystszy.

- Z pewnością.

Dygocząc z zimna, Alex zapukał do drzwi kuchni i natychmiast je otworzył. Oczy mu rozblęły, kiedy zobaczył Stephanie. Wyglądała świetnie w zamszowej kurtce i wełnianych spodniach. Włosy – przynajmniej raz rozpuszczone - miały delikatny odcień miodu. Poza lekkim pociągnięciem szminki nie miała makijażu, dzięki czemu jej skóra promieniowała naturalną delikatnością.

Zapomniał o zimnie przynajmniej aż do chwili, kiedy zobaczył stojącego nieco dalej Willa Randolpha.

Stary prawie się nie zmienił. Nadęty cap ciągle miał jasne błękitne oczy i w ten sam lodowaty sposób patrzył na człowieka, którego przodkowie nie przyplłynęli na „Mayflower”.

Wymienili lodowate spojrzenia i sztywne ukłony.

- Przypuszczam, że to pan jest odpowiedzialny za poroniony pomysł mojej córki, żeby sprawić sobie psa.

- Jeżeli mam być szczery - Alex popatrzył na Stephanie - dość długo usiłowałem ją do tego zniechęcić.

Stephanie zarzuciła pasek torby na ramię i pospieszyła do drzwi. Po raz pierwszy w życiu ci dwaj zgadzali się ze sobą, ale i tak należało ich czym prędzej rozdzielić.

- Wrócimy najpóźniej za trzy godziny, tato.

Na sekundę spojrzenie ojca przygwoździło ją do miejsca. A więc to właśnie z nim wychodzisz - mówiły jego oczy - i to sama. Pamiętaj, jak bardzo cię skrzywdził. Pamiętaj tę rudą!

Nie zapomniała. Nie zapomniała wielu rzeczy. Na razie jednak bardziej obchodził ją airedale terrier, a jej pyszny humor absolutnie nie miał nic wspólnego z tymi paroma skradzionymi godzinami, które miała spędzić z Alexem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przed domem stał przepiękny, stary pierce arrow połyskujący chromami.

- Niech no tylko Jeff go zobaczy! - powiedziała Stephanie. - Rozumiem, że pojedziemy moim wozem?

- Sierść żadnego psa nie zbruka tego auta - zapewnił Alex.

Roześmiała się i wyciągnęła kluczyki. Od lat Alex przyjeżdżał po Jeffa najróżniejszymi typami starych samochodów. Przed jej domem stawały fariny, stutze i cordy, a któregoś dnia Jeff pokazał jej wycinek z gazety, w którym przeczytała, że Alex jest jedynym człowiekiem po tej stronie Atlantyku, który potrafi naprawić duseuberga '34.

Alex przebył daleką drogę od dnia, gdy jako chłopak w skórzanej kurtce kupił za pięćdziesiąt dolarów jakiegoś jeepa z demobilu tylko po to, aby rozebrać go na części. Teraz był specjalistą znanym od Kalifornii po Niemcy, a jego nazwisko figurowało na połowie plakatów wystaw starych samochodów, które Jeff znosił do domu.

- Zatrzymasz go dla siebie? - spytała od niechcienia, patrząc w lusterku na pierce arrow. - Jest wspaniały!

- Był okropnie zaniedbany, kiedy go znalazłem. Ale nie, nie zatrzymam go, jeżeli znajdę odpowiedniego opiekuna.

- Czy zachowuje się grzecznie? - zapytała poważnie, starając się nie uśmiechać, kiedy Alex mówił o samochodzie, jak gdyby był biedną sierotką.

- Ma drobne kłopoty z gaźnikiem...

- Ach! A problemy wychowawcze? Nie kaszle, kiedy zabierasz go na spacer? Grzecznie przyjmuje paliwo i witaminki?

- Boston...

- Hmm?

- Jesteś dzisiaj w szampańskim nastroju.

- To prawda - pomyślała - wstała w doskonałym humorze i nie mogła, ani nie chciała się go pozbyć. Może wynikał z wczorajszego rozładowania emocji? A może - z dzielenia czegoś rzadkiego i słodkiego z Alexem, czegoś, co miało już nigdy nie wrócić? Niezależnie od powodów chciała być tu, gdzie była - blisko niego. Oczywiście tylko dziś rano. Jej samochód śmigał po wiejskich drogach, w słońcu błyskały iskierki szronu kontrastując ze złotymi i rdzawymi liśćmi. Alex rozpierał się wygodnie w fotelu obok i tylko od czasu do czasu głośno odmawiał zdrowaśki, kiedy brała zakręty na pełnym gazie. Ten facet zawsze miał swoiste poczucie humoru!

- Nie martw się, dojedziemy bez szwanku - zapewniła go.

- Zastanawiam się właśnie, w jaki sposób unieruchomimy psa. Bo, że będzie tego potrzebował, to pewne - stwierdził Alex. Całą drogę siedział odwrócony tak, że mógł ją obserwować.

Tryskała doskonałym humorem, a jednocześnie tak usilnie starała się zachować powagę, że wyglądała jak dziecko, które boi się bury za to, iż nie potrafi nad sobą panować. Ogarnęło go dziwne uczucie i ze zdumieniem stwierdził, że to zazdrość. Była świetną, wspaniałą kobietą. Miała pełne prawo do takich chwil szalonej radości. Kiedyś jakiś mężczyzna nauczył ją tego. Ciągle jeszcze w głębi serca nie chciał uwierzyć, że to już nie będzie on.

Stephanie zaparkowała naprzeciw schroniska. Stał tu jeszcze tylko jeden samochód. Wysiadła, włożyła ręce w kieszenie i głęboko odetchnęła świeżym, jesiennym powietrzem.

Schronisko, składające się z biura i czterech pomieszczeń, w których rozmieszczono psy według wielkości i wieku, prowadził pomarszczony staruszek. Obiecał, że będą mogli swobodnie obejść wszystkie klatki, i wsparty na lasce wdał się w pogawędkę ze Stephanie. Najwyraźniej nie narzekał na nadmiar klientów.

Kiedy Stephanie uprzejmie udawała, że słucha, Alex spróbował zbadać pierwszy z brzegu pokój. Powitała go kakofonia piskliwych głosików tak ogłuszająca, że aż się cofnął. Szczenięta! Wkładał palec do wszystkich klatek po kolei, a pieski przepychały się i tratowały wzajemnie, żeby go polizać -jamniki, boksery, owczarki i najróżniejsze mieszańce. Nie znalazł jednak ani jednego szczeniaka, który choć odrobinę przypominałby airedala. W drzwiach zderzył się z wpadającą do pokoju Stephanie. Kipiała z podniecenia, a jej błękitne oczy błyszczały jak roześmiane gwiazdy.

- Alex! Znalazłam! Najwspanialszego airedala! Szybko! W tamtym pokoju... - jej entuzjazmu nie zagłuszyło nawet szczekanie wszystkich psów w schronisku.

- Która klatka? - zapytał wchodząc za nią.

- Nie muszę ci mówić, rozpoznasz go od razu - zapewniła. - Po prostu podejź, Alex. Zobaczysz, jaki jest świetny!

Została przy drzwiach, a on poszedł wzdłuż rzędu klatek. Były tu znacznie starsze psy, większość miała ponad rok. Minął nieźle utrzymanego collie, kudłatego mieszańca, który tchórzliwie kulił się w kącie, jeszcze jednego mieszańca z przyjacielskim pyszczkiem...

- Alex, nie żartuj. Nie poznajesz airedala?

Z pewnością poznałby, gdyby tam był. - Może lepiej mi go pokaż - zasugerował nieśmiało.

- Ten - powiedziała niecierpliwie i kucnęła obok klatki. - Tu jest napisane, że ma na imię Walter. Wiem, że nie jest całkiem rasowy, ale dozorca powiedział, że to na pewno airedale pół krwi. Spójrz tylko na niego!

Alex spojrzał. Wybrała akurat to kudłate nieszczęście skulone w rogu klatki. Jeżeli pra-pra-pra-dziadkowie tego psa mieli choćby niewielką domieszkę krwi airedala, to on sam był Chińczykiem! Pies dygotał jak w febrze, ogon podwinął pod siebie i popiskiwał cichutko, kiedy wszyscy jego kumple wokoło wyszczekiwali sobie płuca w głośnym, zdrowym chórze.

Alex przykucnął obok Stephanie i odchrząknął z zakłopotaniem. - No, Stephanie, możliwe, że staruszkowi coś się pomyliło. Wiedział, że szukamy airedala. Wiesz... jego praca polega na znajdowaniu nowych właścicieli dla tych zwierzaków...

- Alex, on dobrze wie. Psy to jego praca.

- Tak - Alex dawno już nie czuł się tak bezradny.

- Jest taki, jak trzeba.

- Aha... jest. Znowu odchrząknął. - Może będzie trochę lepiej wyglądał, jak wyprowadzimy go z klatki i trochę sobie pospacerujemy.

- Świetna myśl - skoczyła na równe nogi i pobiegła szukać staruszka. Kiedy wreszcie przykuśtykał, żeby otworzyć klatkę, za wszelką cenę starał się nie spojrzeć Alexowi w oczy. Kiedy drzwi stały już otworem, pies nie chciał jednak za nic wyjść.

- Popatrz - szepnęła Stephanie - jaki jest zgarbiony. Za długo siedział w zamknięciu, biedaczek...

Wspólnymi siłami wyciągnęli „biedaczka” i zaprowadzili do biura, gdzie natychmiast wlaź pod krzesło, starając się tam ukryć. Aiex ostro popatrzył na opiekuna psów, ale ten był bardzo zajęty rozmową ze Stephanie.

- Wiem, że może się wydać trochę nieśmiały, ale przecież nie chciałaby pani mieć w rodzinie agresywnego psa! Nie ma w nim ani krztyny złości. Słowo daję, że Walter nigdy nikogo nie pogryzie.

- Po prostu potrzebuje miłości... - przytaknęła Stephanie - i... szczotkowania. - Po raz pierwszy od dłuższej chwili popatrzyła dla odmiany na starego - nigdy ich pan nie czesze? Ani nie wyprowadza na spacer?

- Oczywiście, że czeszę. Oczywiście!

- Ile dziesiątków lat już tu jest? - spytał Alex uprzejmie.

Staruszek zachichotał nerwowo. - Ten pani mąż to dowcipny człowiek!

Stephanie nie zamierzała wdawać się w rozmowę o Alexie. - To oczywiste, że nie może być tu dawno, bo już by się zaadoptował. Ile kosztuje?

- Normalnie liczę dwadzieścia, żeby starczyło na jedzenie dla szczeniaka, sprzątanie klatek itd. Ale dla pani - powiedział ciepło - pięć dolarów.

- Żartuje pan! Alex, słyszysz!?

- Rozbój w biały dzień - mruknął Alex i naprawdę tak uważał, ale znowu musiał odchrząknąć, tym razem dlatego, że nigdy w życiu nie spodziewał się zobaczyć, jak jego była żona wypina swoją dobrze urodzoną pupę i nurkuje pod krzesło, żeby wydostać psa. Trzeba przyznać temu kundlowi, że miał świetny gust - wiernopoddaniec oblizywał wyciągniętą dłoń Stephanie, a ona - nie do wiary - szeptała mu jakieś słodkie słówka. Wyszła spod krzesła dość niespodziewanie i kiedy zobaczyła minę Alexa, jej uśmiech zgasł jak zdmuchnięta świeca.

- Nie podoba ci się, co?

- Kochanie...

- Ale popatrz, tylko popatrz na niego. Chodź tu bliżej i przyjrzyj mu się. Wiem, że jest zaniedbany, ale uczeszymy go, Alex. A kiedy zobaczysz z bliska jego pysk, wąsy i spojrzysz w te jego brązowe oczy... Wbrew zdrowemu rozsądkowi, Alex przykucnął i pstryknął palcami przywołując psa. Ten wyglądał na zdziwionego. Alex westchnął i przysunął się bliżej. Odgarnął opadające kudły szukając tych wielkich brązowych oczu, przyjrzał się opadającym wąsom, przygarbionemu grzbietowi - całej tej nieszczęśliwej, drżącej masie futra. Stephanie cały czas nie spuszczała z niego oczu i czekała. Przez skórę czuł jej napięcie. Czekala jak dziecko na świętego Mikołaja w wigilijny wieczór.

- Wyciągnij rękę - poradziła szeptem. Wyciągnął. Została natychmiast dokładnie oblizana

mokrym, ciepłym jęzorem.

- Widzisz? - szepnęła.

- Boston, to jest wspaniały pies - Alex spuścił oczy i starał się okazywać wielki entuzjizm. - Naprawdę, świetny. Ale... nie jest już szczeniakiem. Oczywiście,

to nie znaczy, że jest mniej interesujący, ale mamy jeszcze mnóstwo czasu i możemy obejrzeć wszystkie... Ten będzie okropnie liniał. Nie jestem też wcale pewien, czy jest dosyć bystry...

Przysiadła obok dotykając jego biodra. - Pies nie musi być intelektualistą. Pies ma po prostu kochać. Popatrz tylko na niego, Alex.

Miał już serdecznie dosyć patrzenia na psa, bo nagle zdał sobie sprawę, że będzie musiał spojrzeć w twarz Jeffowi, który czekał na airedala. Ale popatrzył na Stephanie: nie kryła swoich uczuć; nie wiedziała ani nie chciała wiedzieć, że jej biodro opiera się o niego, że oczy jej błyszczą, że wygląda tak, jakby chciała się kochać.

Ze zdziwieniem stwierdził, że nigdy nie przestał być w niej zakochany!

Wstał i sięgnął po portfel. Wręczając staremu banknot, posłał mu długie, znaczące spojrzenie. Staruszek tchórzliwie zgarnął pieniądze i odsunął się na bezpieczną odległość.

Stephanie poruszyła się niepewnie, a potem przebiegła kilka kroków i rzuciła się Alexowi na szyję. Trwało to zaledwie chwilę, ale mimo to rumieniec oblał jej twarz. Niezbyt często pozwalała sobie na tak swobodne okazywanie radości. Za to kiedy odsunęła się od niego, miała dumnie uniesioną głowę na znak, że niczego nie żałuje.

- Alex! Jeff będzie zachwycony! - odwróciła się do psa. - Walter, chodź, kochanie!

Walter nie miał najmniejszego zamiaru w ogóle się ruszyć. Najspokojniej w świecie chrapał sobie pod krzesłem. Przeklinając w duchu, Alex podniósł krzesło - staruszek błyskawicznie uskoczył, jakby się czego obawiał - i dźwignął przeszło dwudziestokilowe zwierzę. Stephanie przytrzymała drzwi i wytaszczyli psa na dwór. Walter nie był amatorem jazdy samochodem. We dwoje udało im się jednak wepchnąć go na tylne siedzenie. Zanim Stephanie przekreśliła kluczyki w stacyjce, Walter rzucił się na przednie siedzenie i dokładnie oblizał jej twarz. Zaśmiała się uszczęśliwiona.

- Będzie też doskonałym psem obronnym, prawda? Alex osunął się w swój fotel i obmyślał, w jaki sposób będzie mógł ułaskawić Jeffa.

- Alex?

- Tak, tak - zgodził się szybko - doskonały pies obronny.

Stephanie powoli spoważniała. - Alex, nie chciałam wprowadzić cię w zakłopotanie. Wiesz...

- Nie wprowadziłaś - odparł. Wyrzuciła mu znacznie większą krzywdę - znowu pokazała mu siebie taką, jaką była wtedy, kiedy się w niej zakochał. To była ta sama kobieta, która tak bardzo potrzebowała kochać i być kochaną. Rozpalała się jak gwiazda, kiedy nie ukrywała uczuć, i była gotowa tyle dać z siebie bez wahania... pragnął tej kobiety. Pragnął, żeby zawsze była taka, żeby ta strona jej osobowości rosła i rozwijała się jak kwiat. Tak, Stephanie popełniła ogromny błąd pokazując mu znowu siebie.

Ojciec tylko raz spojrział na psa i jęknął słabym głosem „O, mój Boże”, ale to już wystarczyło, żeby Walter poczuł się do tego stopnia zawstydzony, że zrobił kałużę na podłodze. Należało ją uprzątnąć. Potem należało wykąpać Waltera, a to z kolei skończyło się zalaniem całego domu. Przy lunchu Jeff uprzejmie przyniósł do stołu album ze zdjęciami psów, żeby Stephanie czarno na białym mogła zobaczyć, jak wygląda airdale terrier. Wszyscy koledzy Jeffa, którzy wpadli z wizytą po szkole, mieli krytyczne uwagi pod adresem Waltera.

Zanim Alex przywiózł kolację z chińskiej restauracji, Stephanie miała powyżej dziurek od nosa uwag na temat swojego niefortunnego nabytku. Gotowa była klócić się z każdym. Tak naprawdę miała ogromną ochotę pokłócić się właśnie z Alexem, ale on nie dał się sprowokować.

Po kolacji obaj z Jeffem zasiedli przed telewizorem z miską prażonej kukurydzy, żeby oglądać mecz. Stephanie zarzuciła kurtkę i poszła do ogrodu wyładować się na suchych liściach. Walter odprowadził ją aż na ganek, gdzie natychmiast usnął ze szczęśliwym westchnieniem.

Wiosną i latem Stephanie bardzo lubiła swój ogród, wielkie topole i klony. Jesienią wszystko to przykrywała warstwa liści sięgająca kostek. Wystarczająco dużo, żeby rozładować mnóstwo nagromadzonej frustracji. Liście szeleściły przyjemnie pod grabiami, grały gamą żółci, czerwieni i brązów w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Stephanie szybko zgrabiła jedną porządną stertę, zdjęła kurtkę i zabrała się do następnej. Mimo że zapadł zmierzch, czynność ta rozgrzała ją. Oczy Stephanie przyzwyczyły się do mroku. Nie zdawała sobie sprawy, że zrobiło się późno. Nagle usłyszała, że drzwi się otwierają. Alex zapalił światło i wyszedł na ganek.

- Masz zamiar pracować całą noc? - zapytał cicho.

- Może - rzuciła zaczepnie.

Usiadł na najwyższym stopniu, leniwie wyciągnął rękę i pogłaskał psa. Dalej grabiła, a sterta liści rosła i rosła. Drażniło ją, że Alex ciągle tam siedzi i patrzy na nią. Jedną ręką gładził psa, drugą podpierał brodę i nie odrywał od niej wzroku. Niebo miało ten sam kolor co jego oczy - czarne jak aksamit.

- Jeff śpi? - spytała w końcu.

- Tak.

- Wiesz, mam jeszcze jedną parę grabi - zagadnęła. Potrząsnął głową. - Nie, Boston - to ty potrzebujesz wyrzucić z siebie złość, nie ja.

- A to co znowu?

Przez chwilę nie odpowiadał, potem odchylił się do tyłu i opierając się na łokciach wyprostował nogi. Miała na sobie stary sweter i szalik. Z pewnością nie wyglądała najkorzystniej, ale nagle uświadomiła sobie, że schylając się, garbiąc i podnosząc liście eksponuje przed nim różne części ciała. Kłopotliwe myśli przelatywały jej przez głowę. Mgliście przeczuwała, że gdyby wokół nie było nikogo, tylko ciemność i suche liście, mogłaby nagle znaleźć się w samym środku pożaru.

- Podoba ci się pies? - zapytał cicho.

- Tak, podoba mi się, ale jeżeli jeszcze ktoś chociaż raz powie słowo...

- No, to nie ma sprawy, Boston. Co cię obchodzi, co inni mają na ten temat do powiedzenia?!

Oparła grabie o pień drzewa i odwróciła się do niego, podpierając się pod boki. - Nie obchodzi mnie, co inni o tym myślą. Tylko, że Jeff chciał aireadala. Pozwoliłeś mi kupić tego psa, chociaż doskonale wiedziałeś, że nawet nie jest mieszkańcem aireadala! Mogłeś mi przynajmniej powiedzieć! A teraz zawiodłam Jeffa...

- Kochanie... - Alex podniósł się leniwie i zszedł! wolno po schodach. - Kocham naszego syna nie mniej niż ty, ale postaraj się przez chwilę nie myśleć o nim. Jeff ma całe życie przed sobą. Może sobie nawet hodować aireadale, jeżeli będzie miał na to ochotę.

- Ale, jednak... - opuściła ręce. - Cholera, tak mi głupio - powiedziała niepewnie, odwróciła się i znów sięgnęła po grabie. - Nie jestem przyzwyczajona robić z siebie idiotki, podejmować niemądrych, nieprzemyślanych decyzji, nie...

- Podoba ci się ten pies?

- Już ci mówiłam. Bardzo mi się podoba. Ale to nie znaczy, że mam...

W okamgnieniu wyrwał jej grabie z ręki i z powrotem oparł o drzewo. Zanim zdążyła zorientować się, co z nią dzieje, świat nagle przechylił się, poczuła mocny zapach mężczyzny, od którego zakręciło jej się w głowie, i ... wylądowała w kupie liści.

- Co ty najlepszego... - prychnęła. - Jesteś szalony, jesteś... - garść liści posypała jej się na głowę, a kiedy przetarła oczy, Alex już szykował następny ładunek.

- Ani się waż! - przeturlała się na bok, ale nie zdążyła umknąć. W odruchu obrony zebrała garść i zamierzyła się w jego stronę.

- Alex! - krzyknęła ostrzegawczo.

- Zostaw je, Boston! Bądź nierozsądna chociaż raz! Nie przejmuj się!

- Nie mam zamiaru. Nie... - umilkła zatopiona przez kolejną szeleszczącą ulewę. Odrzuciła liście pełnymi garściami i usłyszała serdeczny śmiech Alexa. - Jeszcze!

- Jeszcze!? Zwariowałeś! Cała moja praca na nic. Będę musiała grabić od początku... - odpowiedział jej nowy grad liści, których większa część wpadła jej za kołnierz. Tym razem pochyliła się, zgarnęła całe narecze i cisnęła na oślep. I nagle wszystko przemieszało się ze śmiechem i była tylko radość i liście. Było jej tak ciepło i przyjemnie. Ciągłe się śmiała, nawet kiedy Alex ją popchnął i oboje upadli w duszny szelest złota, miedzi i czerwieni. Ciężar jego ciała był zaskakujący, ale tylko przez chwilę. Czekala ją zresztą jeszcze niejedna niespodzianka. Otworzyła oczy i spojrzała w twarz Alexowi. Nie było już na niej uśmiechu. Opierał się na łokciach zamykając jej nogi między swoimi, a jego rzesy były utkane z głębokiej czerni aksamitu. Mimo to nie mogły stłumić ognia pożądania w jego spojrzeniu.

Poczuła sygnał ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Starala się wyswobodzić, ale przez to tylko silniej przycisnęła brzuch do jego napiętej męskości. Nie drgnął. Nie tak łatwo unieść bryłę granitu.

- Liście - wyszeptała bez tchu - łaskoczą.

- Wiem - mruknął. - Przepraszam, Boston, ale guzik mnie to teraz obchodzi. - Dotknął wargami jej policzka, skroni, nosa. Powolne, leniwe pocałunki - nie było powodu do pośpiechu. Była dobrze przyszpilona.

- Alex...

- Moja głupiotka potrzebuje pocałunków w nagrodę za to, że była impulsywna, i przeprosin, które należą jej się od stu lat za to, że nie byłem na tyle męski, żeby cię zrozumieć. Nie posunę się za daleko - dodał uspokajająco, ale nie staraj się przeszkadzać mi przez najbliższe dwie minuty.

Zaschło jej w gardle. Jego wargi zbliżyły się znowu i dotknęły jej ust. Wsunął język między na wpół rozchylone wargi. Jego pożądanie rozbudziło ją.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Cały świat miał teraz zapach mężczyzny, jesiennych liści i ziemi. Przez zamknięte powieki widziała migoczące kryształki gwiazd.

Wszystko działo się tak szybko. Wsunął nogę między jej uda, a biodrem potarł jej brzuch. W ciemności eksplodował płomień. Jego zachłanna dłoń przesunęła się wzdłuż jej ciała ugniatając jej pierś, aż delikatna skóra zaczęła palić. Znowu zobaczyła jasny błysk w ciemności. Usta Alexa sięgnęły pod sweter, zęby dotarły do czulego zagłębienia szyi.

Może ten ogień narastał od wielu dni, a może od lat. Nie знаła odpowiedzi. Dla Stephanie zawsze było zadziwiające to, że tak bardzo go pragnęła i że nieistotny był ani czas, ani miejsce spełnienia. Była wściekła na własną głupotę, ale falami powracała do niej niedawna wesołość, którą uznała za świetne usprawiedliwienie.

- Kochanie - powiedział Alex nagle schrypniętym głosem - jeszcze masz szansę to odkręcić...

Zesztywniał, kiedy zamiast odpowiedzieć, przeciągnęła dłońmi wzdłuż jego pleców, aż do napiętych pośladków i ud. Alex stracił równowagę, a ona szybko odepchnęła go na szeleszczące łożo. Jej usta pośpieszyły za jego wargami. Pomyślała, że stało się to, co było nieuniknione. I to właśnie było cudowne. Jego usta były wspaniałe. Przesunęła dłonią w górę dzinsowej nogawki. Usłyszała cichy jęk Alexa. To też było cudowne!

- Boston...

- Zamknij się, Alex - nie miała ochoty na kolejne ostrzeżenia. Znacznie bardziej pragnęła dotknąć językiem jego gładkich, białych zębów. Uniosła się i usiadła na jego biodrach, dotykając piersiami jego piersi. Zdawała sobie sprawę, co prowokuje. Nagle Alex podniósł się, unosząc ją ze sobą. Stali obejmując się w ciemnościach, a liście opadały z ich włosów i ubrań. Jego usta były teraz twarde i stanowcze. Oddawała pocałunki równie mocno.

- Idziemy do domu - zdecydował. Nikt na świecie nie miał aż tak czarnych oczu. Przeszywały na wskroś. Cała jego twarz była jak wyrzeźbiona ostrymi,

gwałtownymi cięciami. Gdyby go nie znała, z pewnością przestraszyłaby się. Ale przecież znała go doskonale i wiedziała dokładnie, jak wyglądał, kiedy z trudem panował nad sobą.

- Tak - zamruczała zgodnie.

- Ale nie na górę. Jeff mógłby się obudzić...

- Alex, nie mamy dokąd pójść!

Ale znalazł jednak schronienie. Otworzył drzwi i wprowadził ją do środka. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, odróżniła słabe światło dochodzące z dalszych pokoi. Było tu tak cicho w porównaniu z bezustannym szelestem liści i pełnym odgłosów nocnym ogrodem. Jakaś część jej mózgu zarejestrowała skomlenie psa, który gdzieś na górze skarżył się, że o nim zapomniano. Nie miało to teraz żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Z trudem udało jej się przeciągnąć sweter przez głowę, stanik odpięty i zsunięty z ramion, przez chwilę posłużył Alexowi do przytrzymania jej rąk w niewoli, podczas gdy gradem gorących pocałunków obsypał jej szyję, ramiona i piersi. Dźwięk, który wydobył się z jej gardła - słaby i błagalny - zabrzmiał jak eksplozja w głębokiej ciszy uspionego domu.

Zdejmując koszulę, nie odrywał wzroku od Stephanie. Czarne oczy trzymały na uwięzi błękitne, aż całe jej ciało zadrżało dreszczem pożądania. Przesunął delikatnie dłońmi po jej nagim ciele i sięgnął do zapięcia spodni. Na sekundę Stephanie zawahała się. Patrzył na nią w taki sposób, jak gdyby chciał zachować jej obraz na długie samotne lata i zimy, które miały nadejść. Tylko że ona nie była wcale aż tak piękna, jak jej mówiło jego spojrzenie. Nie była żadnym... skarbem.

- Alex... - przykryła dłonią jego dłoń, zanim zdążył zdjąć z niej resztę ubrania. - Nie jestem już taka jak dawniej - szepnęła. - Nie jestem już taka szczupła i... mam rozstępy.

- Koniecznie musisz mi je pokazać - przeciągnął dłonią po jej nagich biodrach i udach zsuwając spodnie. Uniósł ją w górę i przyciągnął do siebie. Usłyszała dźwięk starych sprężyn i poczuła szorstki koc. Najpierw musnął wargami jej usta, potem przesunął je wzdłuż jej szyi i piersi, aż na brzuch - do śladów na skórze.

- Tym się tak martwisz? - zamruczał cicho i ucałował obydwie srebrzyste ślady. Przytrzymał ją mocniej i jego usta powędrowały tam, gdzie nie było już rozstępów, tylko delikatny, jasny puch. Szepnęła coś ochryple. Nie zwrócił na to uwagi.

Po chwili uniósł się znów wyżej przykrywając jej ciało wstrząsane nowym dreszczem. Bez uśmiechu zajrzał w jej błękitne oczy roziskrzone pożądaniem. - Czy jeszcze coś cię martwi? - zapytał niewyraźnie.

W odpowiedzi ukryła twarz na jego ramieniu.

- Jesteś jeszcze piękniejsza, kochana... - całował teraz szybciej jej twarz i szyję.

- A wtedy byłaś piękniejsza, niż mogłem marzyć... - muskał językiem jej sutki aż do bólu, aż piersi wypełniły się dla niego.

- ... i nigdy nie przestałem cię pragnąć.

Wstał, żeby rozebrać się do końca. Minęła zaledwie chwila, a już zdążyła zatęsknić do jego dotyku. Otworzył jej uda, owinał nogi wokół swoich bioder i wszedł wolno w gorący i wilgotny tunel jej miłości. Jego wargi wchłonęły jej westchnienie - w pocałunku zamknął dźwięk rozkoszy, jak drobinę ukrytą na dnie kryształu. Całe jej ciało było teraz puszystą pianą.

Jako chłopiec Alex był namiętym, obdarowującym kochankiem. Teraz - wiedział więcej i nie zadowalał się szybkim, gwałtownym zaspokojeniem. Pragnął klejnotów. Zamieniał jej ciało w gładki jedwab, pobudzając zmysły do granic szaleństwa, a kiedy przyłgnęła do niego bez końca powtarzając jego imię, pokazał jej tęczę.

Potem objął ją i ułożył na swojej piersi. Ogrzał ją ciepłem swoich ramion i leżeli tak w ciszy, bez tchu, senni i radośni.

- Jestem za ciężka - powiedziała niewyraźnie.

- Nie. Nigdy. Chociaż... - usłyszała w jego głosie znajome brzmienie dowcipu. - Zdaje się, że właśnie uświadomiłem sobie, gdzie jesteśmy - rozejrzał się po pokoju, półkach, kanapie, zobaczył starą lampę. - Nie kochałem się z tobą w piwnicy! - zapewnił.

- Wygodniej tu niż w tamtym starym MG - powiedziała poważnie.

- Nawet nie pamiętam, jak się tu znaleźliśmy - był tym tak okropnie przejęty, że położyła palce na jego ustach uciszającym gestem.

 Nie miało to znaczenia wtedy i nie ma teraz

- zapewniła.

Uniósł głowę i ucałował jej skroń. - Lubię myśleć o tobie w jedwabnej pościeli, otoczonej miękkimi poduszkami.

- A ja lubię wierzyć, że pragnąłeś mnie tak bardzo, że nie zastanawiałeś się, gdzie jesteśmy - szepnęła.

- Wiesz, że właśnie tak cię pragnąłem.

- Ja ciebie też.

- Masz liście we włosach - powiedział z uśmiechem. Znowu oparła głowę na jego piersi, wsłuchując się w jego uspokajający rytm. - Ty też.

- Podobasz mi się w tej jesiennej fryzurze.

- Dzięki.

- Lubię cię nagą. Właściwie kocham cię nagą. Rumieniec oblał jej policzki. Przesunęła głowę tak,

żeby go widzieć. Ale nie mogła spojrzeć mu w oczy. Swoje schowała za mgiełką rzęs. - Alex, chcę ci coś powiedzieć - zaczęła.

- Powiedz - rozczesał palcami jej włosy.

Jak bardzo chciała przytulić policzek do jego mocnej dłoni, zaczerpnąć z niej trochę siły i pociechy oraz zatrzymać tę chwilę na zawsze! Tylko że to pragnienie nie mogło się ziścić. Nie miała złudzeń. To, że się przed chwilą

kochali, niewiele zmieniało na dłuższą metę. Była z nim, bo miała na to ochotę, bo potrzebowała tego. Od dawna pragnęła, żeby jej wybaczył. Miała przed sobą zbyt wiele lat samotnych i pustych.

Była przerażona, wprost zdruzgotana. Ten „jeszcze jeden raz” sprawił, że teraz musiała wiedzieć, chociaż tak bardzo bała się prawdy.

Żaden inny mężczyzna nie działał na nią tak jak Alex. Nie mogła mu nic w zamian ofiarować poza uczciwością.

Jego uśmiech zgasł, gdy patrzył na grę emocji na jej twarzy.

- Powiedz mi - poprosił cicho.

- Chciałam tylko... Chciałabym, żebyś o czymś wiedział - dotknęła jego szorstkiego policzka. - Nie mam ci za złe tamtej dziewczyny... tej rudej. Kiedyś powiedziałaś, że jestem niedojrzała i zepsuta, i... miałaś rację. Jestem winna tak samo jak ty - jeżeli nie więcej - mówiła teraz szybko. - I...wszystko już minęło, i nie ma co do tego wracać. Tylko że... chciałam ci to już dawno powiedzieć... że nie mam do ciebie żalu o tę... dziewczynę.

Dłoń głaszcząca jej włosy zatrzymała się w połowie gestu. Ogień w jego oczach mógłby zamienić w szczyptę popiołu każdą przeszkodę. Przez chwilę milczał. Potem jego głos zaszemrał. - Ta dziewczyna... - powtórzył jak echo. - Wiedziałem, że ojciec musiał ci powiedzieć coś takiego, co cię przekonało do powrotu do domu. Nie wiedziałem tylko, co to było.

- Ona nie ma znaczenia - powtórzyła Stephanie i mówiła zupełnie szczerze. Dalej jednak wpatrywała się w jego twarz jakby ciągle na coś czekając.

- Chcesz, żebym powiedział, że nie było żadnej rudej dziewczyny? - zapytał.

- Nie - potrząsnęła głową, ale jej serce wołało „tak, tak, tak”.

- Nie zrobię tego. Nie zaprzeczę. Nigdy, Boston.

- Wcale cię o to nie proszę - poczuła jednak, że idiotyczne łzy napłynęły jej do oczu. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że to moja wina. Zraniłam cię. Oboje...

- A wszystko to było sto lat temu. Uśmiechnij się, malutka - zerwał z niej koc i klepnął po pupie (prawie zabolalo). - Pysznic raz! Dla szanownej pani! Jakoś

nie mogę sobie wyobrazić, że pójdziesz spać z liśćmi we włosach. Mogłabyś mieć kłopoty z wyjaśnieniem tego faktu Jeffowi.

Inna kobieta, która nie знаła Alexa tak dobrze jak ona, pomyślałaby, że wszystko jest w porządku. Droczył się z nią, kiedy się ubierali, gonił po schodach na górę i pocałował na pożegnanie. Ale jakby nie całował jej naprawdę. Usta miał zimne, twarde, złe.

Kiedy odjechał, poczuła się dotkliwie, boleśnie porzucona, długo jeszcze stała w kuchni, nie zwracając uwagi na psa tulącego się do jej nóg. Zraniła go

- wiedziała. Chociaż nie miała zamiaru. Nie była nawet do końca pewna, co złego zrobiła.

Oczywiście, popełniła błąd wyciągając sprawę tej rudej. Ale nie zrobiła tego, żeby go urazić. W głębi serca wiedziała, że najpierw koniecznie muszą wyjaśnić sprawę tej kobiety. Koniecznie musiała wymazać stare poczucie winy.

- Kochasz go - powiedział jej wewnętrzny głos.

- Znowu go kochasz, Boston.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Tak mi przykro, że musiałem cię wezwać, Stephanie - mówił George prawie niewidoczny za swoim ogromnym biurkiem z lekowego drewna. - Wiem, że planowałaś spędzić ten tydzień w domu ze swoim chłopakiem...

- Nic nie szkodzi - mruknęła Stephanie myśląc o czymś innym. Siedem dni po wypadku Jeff może już prawie wywijać piruety i na pewno da sobie świetnie radę bez niej, nawet jeżeli Alex nie przyjedzie... Alex... Z wysiłkiem skoncentrowała się na leżących przed nią fotografiach.

- Gdybym lepiej znał się na Ludwiku XVI... Ale nigdy jeszcze nie mieliśmy do czynienia z taką posiadłością.

- Mhm.

- Trudność polega na tym, że to jest niezwykły dom. I ta zawrotna cena! Nawet jak na posiadłość w okolicy Echo Lake. Trudno będzie ją sprzedać.

- Mhm.

George miał irytujący zwyczaj gadania akurat wtedy, kiedy najbardziej starała się skupić. Na zdjęciu był pięknie odrestaurowany dom w stylu Ludwika XVI położony na kilku akрах górzystego terenu w pobliżu jednego z kurortów narciarskich w White Mountains. Ogromne wnętrza miały stiuki złożone dwudziestodwu-karatowym złotem, stare, marmurowe kominki, jedwabne obicia na ścianach i niemieckie kryształowe kandelabry. Bardzo jej się to podobało! Wszystko bez wyjątku. A poza tym bardzo potrzebowała teraz pracy, żeby chociaż na chwilę przestać myśleć...

- Jeżeli nie masz czasu, poproszę Val, żeby się tym zajęła.

- Ani się waż!

George przyglądał nie istniejące włosy na łysej jak kolano czaszce. Gdyby starał się przypochlebić Stephanie, mówiąc, że od razu jej chciał powierzyć tę sprawę byłaby zaniepokojona. Stephanie źle znosiła komplementy. Wprost uwielbiała wyzwania, a George na swój sposób lubił się z nią droczyć.

- Dwa tygodnie temu narzekałaś, że masz za dużo pracy...

- Och, George, bądź wreszcie cicho! - zakładając nogę na nogę, Stephanie odłożyła folder ze zdjęciami i sięgnęła po dokumenty. - Przejdźmy raczej do szczegółów; zbadajmy fakty - obciążenie hipoteczne, ostatnią wycenę towarzystwa ubezpieczeniowego. Masz listę ruchomości? Czy mamy

wystarczająco dużo czasu, żeby spróbować sprzedać dom w całości, czy zrobimy aukcję mebli?

Dwie godziny później siedziała już w samochodzie. Było piątkowe popołudnie i spory ruch na drodze. Na siedzeniu obok leżała zamknięta, dobrze wypchana teczka, za którą przed chwilą gotowa była zamordować Georga. Nalegał, żeby zaczekała z tym do poniedziałku, chociaż doskonale wiedział, że Stephanie będzie mogła zabrać się do roboty, gdy tylko Jeff pójdzie spać.

W ciągu tygodnia nie tęskniła do pracy, lubiła spędzać czas z synem, ale praca była dla niej czymś naprawdę ważnym. Po kilku godzinach spędzonych w biurze czuła się odświeżona, pełna zapału i gotowa stawić czoła przeciwnościom. Choćby takim jak Jeff, który chodził po ścianach z nudów, pies, który był bardziej kłopotliwy niż pięćdziesięciofuntowe niemowlę i, oczywiście Alex... Nie, Alex nie powinien był znaleźć się na tej liście. Był taki pomocny! Kran w łazience już nie ciekł; okna były umyte i założone na zimę; rozumiał zadania geometryczne Jeffa (ona nie potrafiła mu pomóc); przynosił kolacje, żeby nie musiała gotować; pełnił rolę współgospodarza, kiedy hordy nastolatków wpadały odwiedzić Jeffa. Doprawdy, jedyną rzeczą, którą mogła mu mieć za złe, było to, że jej nawet nie dotknął. A tak bardzo było jej to potrzebne!

Rozumując logicznie, musiała przyznać, że jej żal jest niemądry. Każde okazanie cieplejszych uczuć w obecności Jeffa z pewnością zaowocowałyby gwałtownym wzrostem nadziei na ich pogodzenie, a przecież chłopak i tak już Bóg wie, co sobie wyobrażał. Jeżeli zaś chodzi o jej własne marzenia na temat przyszłości, to wiedziała, że zaprzepaściła je raz na zawsze wspominając o tej rudej.

Dlaczego - nie wiedziała. Może miała cichą nadzieję, że Alex zaprzeczy, iż wtedy spotykał się z jakąś rudą. Do cholery, oczywiście, że chciała, żeby zaprzeczył! Żeby chociaż nie potwierdzał tego, co i tak sama wiedziała. Dużo ją to kosztowało, żeby w ogóle rozmawiać na taki temat. A jednak zdobyła się na

to. Całą swoją dumę postawiła na jedną kartę. A on ją podeptał! Od dnia, kiedy się kochali, traktował ją, jakby była bezcennym pucharem z waterfordzkiego kryształu!

Rzucając okiem w lusterko wsteczne, poprawiła plisę przy dekolcie fioletowej kaszmirowej sukni i przećwiczyła „daleki” uśmiech. Alex nie cierpiał tego typu uśmiechów.

- Bądź grzeczna, Stephanie - powiedziała do siebie. Z trudem odprężyła się nieco. Udało jej się opanować do chwili, kiedy zajechała przed dom.

Pierce arrow już zniknął. Tym razem Alex przyjechał lagondą LG45. Zirykowało ją to, że ciągle jeszcze pamięta te wszystkie nazwy, i to, że spod samochodu wystają trzy nogi. Czwartą - nie tak dawno śnieżnobiały opatrunek gipsowy - pokrywały plamy najróżniejszych smarów.

Stephanie wysiadła, głośno zatrzasnęła drzwiczki i ruszyła ku nim. Natychmiast wysunęli się spod samochodu. Alex miał na sobie znoszone dżinsy i starą podkoszulkę z długim rękawem. Obie te części garderoby ewidentnie wiele już razy bywały pod samochodami. Uchwyciła jego spojrzenie błyskawicznie prześlizgujące się od jej włoskich lakierków do eleganckiej sukni i patrycjuszowskiego nosa. Napotkawszy jej oczy, Alex spuścił wzrok. W ułamku sekundy uchwyciła błysk w jego oczach. Widziała, jak zacisnął szczęki. Czują, jakby przebiegła między nimi iskra. Potem nagle wszystko zniknęło. Została zimna, odpychająca rezerwa i ten ton, którym do niej przemówił! Równie dobrze mógłby się tak zwracać do nauczycielki.

- Posłuchaj, Stephanie...

Stephanie spojrzała na niego tak jak na robaka, albo... mężczyznę, który śmiał ją niecznie wykorzystać. Do licha, to naprawdę bolało. Przeżyła z nim taką noc, a teraz była odtrącona! Miała ochotę stuknąć go w głowę. I to czymś ciężkim. Tego nie mógłby zignorować!

Na razie zadowolila się bardziej cywilizowaną formą protestu - wściekle zastukała obcasami na chodniku i spojrzała na Jeffa. Blizny na jego twarzy były zupełnie niewidoczne pod grubą warstwą smaru. Najlepsza - do niedawna - koszula w czerwoną kratę była cała poplamiona i miała dziurę na ramieniu.

- Posłuchaj, mamó... - zaczął niepewnie - wiem, że powinienem teraz być w domu, ale musieliśmy naprawić to zawieszenie. Nie wrzeszcz na tatę. To był mój pomysł.

- Nigdy do tej pory nie miałeś okazji usłyszeć, żebym krzyczała na twego ojca - powiedziała Stephanie sucho.

Syn i ojciec popatrzyli na siebie i błyskawicznie zerwali się na równe nogi.

- Ja sam skończę - powiedział szybko Alex. - Ty idź na górę i doprowadź się do porządku. Zostaw nas samych.

- Nie chciałbym, żebyście się kłócili z mojego powodu.

- Jeff - zapewniła chłodno Stephanie - nikt się nie będzie kłócił. Naprawdę. Obiecuję - odczekała, aż zamknął za sobą drzwi i odwróciła się na pięcie do Alexa. - Na pewno nie będę się z tobą kłócić. Po prostu cię zamorduję!

Alex otworzył długą, błyszczącą maskę samochodu i wetknął pod nią głowę. Jak długo uda mu się na nią nie patrzeć, wszystko będzie dobrze. Obiecał to sobie. Wszystko, czego chciał od życia, to jakaś miła, uprzejma i spokojna kobietka, która może i nie kochałaby się jak syrena, ale i zaraz po tym nie traktowałaby go w ten sposób.

Stephanie od trzech dni szuka zaczepki, ale nic z tego! Już mu wystarczająco dołożyła „wybacząc” mu tamtą rudą. Nic go bardziej nie ubodło od dnia, kiedy się poznali. Nie rozumiała go i nigdy nie zrozumie. Wreszcie odezwał się do niej słodkim głosem.

- Cóż, masz rację, Boston. Miał nie forsować nogi, a nie uprawiać gimnastykę pod jakimś gratem...

- Dobrze to ująłeś.

- Poza tym wymigał się od odrabiania lekcji, na co nie powinienem był mu pozwolić...

Odbierał jej argumenty! Zagapiła się na napięte mięśnie grające na jego plecach. Coś zrobiło „ping” i Alex wyciągnął rękę do tyłu, szukając po omacku umazanego smarem klucza, który leżał tuż obok. Odważnie chwyciła klucz i wetknęła mu do ręki, jak instrumentariuszka skalpel.

- A do tego nie życzysz sobie, żeby miał cokolwiek do czynienia z samochodami i nie mam ci tego za złe.

Uniosła brwi. Tak okropnie chciała się z nim pokłócić albo zrobić cokolwiek, co by mu pokazało, że ma w nosie... ale nie spodziewała się, że będzie to aż tak łatwe!

- Co to znaczy, że nie życzę sobie, żeby miał coś wspólnego z samochodami!? To nie ma nic do rzeczy, Alex! Chodzi tylko o to, że wybraliście nie najlepszy moment. Wiesz doskonale, że noga jeszcze puchnie, kiedy chodzi za dużo.

- Teraz akurat leżał, to znaczy - nie opierał się na nodze - coś znowu zrobiło „plonk” i klucz wyciągnął się w jej stronę. Wzięła go w dwa palce i odłożyła na bok. - Chciałem go tylko zniechęcić - dokończył Alex obojętnie.

- Ale dlaczego? Wiesz, że uwielbia samochody.

- Jak większość chłopców w jego wieku. Ale od pewnego czasu zaczął mówić, że chce być mechanikiem, więc pomyślałem sobie, że wezmę go tu i pokażę, jaka to ciężka i brudna robota - Alex odwrócił głowę i spojrzał na Stephanie. - Nie musisz się martwić

- nie zamierzam go nigdy popychać w tym kierunku. Mój syn nie będzie robociarzem! Pójdzie do Dartmouth! Zawsze chciałem, żeby poszedł do tej szkoły! Chcę, żeby był kimś. Kimś więcej niż ja.

- To jest chyba - powiedziała Stephanie lodowato

- najgłupsze gadanie, jakie kiedykolwiek słyszałam.

- A to co ma znaczyć? - nagły błysk w oczach Alexa był właśnie tym, na co od dawna czekała!! Nie to, żeby koniecznie chciała się z nim kłócić, ale nie mogła

ścierpieć tej obojętności! Przez cały tydzień już sama jego obecność przyprawiała ją o rumieniec!

- To ma znaczyć dokładnie to, co słyszałeś! Gadasz głupstwa. Jeżeli chce być mechanikiem, to może sobie być mechanikiem. Oczywiście, zależy mi na tym, żeby miał dobre wyniki w szkole, ale po to, żeby starał się być dobry w tym, co robi, niezależnie od tego, co robi. Wcale nie dlatego, że mam wygórowaną ambicję, żeby poszedł do Dartmouth!!

- Wszyscy mężczyźni w twojej rodzinie kończyli Dartmouth - rzucił Alex i znowu schował głowę pod maskę. - Podaj mi trzy szesnaste.

- No to co, że kończyli!? I co to jest, do cholery, „trzy szesnaste”?

- Klucz. I nie opowiadaj mi tu bzdur. To ma znaczenie, czy Jeff będzie kontynuował rodzinną tradycję.

Pochyliła się i dokładnie obejrzała kolekcję narzędzi walających się wokół. Klucze miały jakieś numery i w końcu udało jej się znaleźć odpowiedni. Głupie klucze! Silniki były jeszcze gorsze! Wszystkie te metalowe wnętrzości i zwoje... Meble - to zupełnie coś innego! Albo dwudziestodwukaratowe złocenia stiuków, albo porcelana Royal Doultón...

- Nie dbam o to, czy Jeff zdecyduje się kontynuować rodzinną tradycję. Nie będę go do tego zmuszała. Nie mam nic przeciwko temu, żeby mój syn został mechanikiem.

- Ale ja mam. Chcę, żeby miał lepiej w życiu. Żeby pracował nie brudząc sobie rąk.

- Ręce można umyć. Tobie jakoś to się udaje!

- zajrzała mu przez ramię. Nie, żeby była ciekawa, co robi, ale po prostu, żeby zobaczyć.

- Nie zbliżaj się - powiedział Alex gniewnie.

- Pobrudzisz tę swoją suknię. Wiedział dobrze, że powiedział to zbyt późno - zapach jej perfum odurzył go jak nektar. Do licha! Nawet nastolatek nie podnieciłby się tak z powodu perfum! Ta kobiety odbiera mu rozum. Stokroć

bardziej wolał stać tu i kłócić się z nią, niż znaleźć się w towarzystwie porządnej, miłej i spokojnej kobietki, o której jeszcze tak niedawno marzył.

- Nie tę - odchrząknął niezręcznie - w tej jest ci ślicznie.

Przez chwilę słychać było jedynie świergot ptaków na topoli. Z pewnością ten komplement nie był szczytem wyrafinowania. Dlaczego więc tak mocno się zarumieniła?

- Dziękuję - powiedziała szybko - ale wracające do Jeffa...

- Nie mam nic więcej do powiedzenia na temat Jeffa. Będzie grzebał w samochodach po moim trupie!

- To jedna z wielu możliwości - zauważyła uprzejmie.

- Może zostać prawnikiem. Albo lekarzem. Albo inżynierem.

- Albo mechanikiem, albo elektrykiem. Albo kopać rowy.

- Ostatecznie może być nawet nauczycielem.

- Ostatecznie może nawet być stolarzem.

- Przestań, Boston. Nie będzie pracował fizycznie.

- Słuchaj, ty fałszywy snobie...

Trzasnęły drzwi. Wrócił Jeff. Stephanie natychmiast przywołała radosny uśmiech. Jeff jednak wcale tego nie zauważył. Utkwił wzrok w umazanym smarami kluczu, który miała w ręce. Popatrzył na nią i rozpromienił się cały.

- Pomagasz tacie?! Rany... mamó! Zawsze wiedziałem, że jak raz spróbujesz, to polubisz samochody. A w końcu - nie ma lepszego nauczyciela od taty!

- Odczep się od matki. To nie zbrodnia, że nie ma ochoty brudzić sobie rąk - warknął Alex spod maski samochodu.

Stephanie znowu gapiała się na jego muskularne ramiona. Nigdy nie bałam się ubrudzić sobie rąk!!

- Kłóćcie się jednak - powiedział Jeff z troską. - A ja właśnie pomyślałem, że tak wam się dobrze układa. Cholerka, mamó... gdybyś tylko postarała się zrozumieć pracę taty...

Alex wyjrzał spod maski, żeby zmrozić syna spojrzeniem. Jeff natychmiast zamknął usta, ale Stephanie uchwyciła wyraz jego oczu. Nagle okropnie rozboleła ją głowa, jak od uderzenia obuchem. Jeff uważał, że wszystko to była jej wina, bo nie interesowała się pracą Alexa!

- Do diabła, gdybym miał cztery ręce!! Za dziesięć minut skończę. Jeff, podaj mi...

Jeff bez słów wiedział, co ma podać, ale Stephanie zatrzymała go gestem i sama sięgnęła po zatłuszczoną część. Nie zrobiła tego, żeby pomóc Alexowi, ale wyłącznie ze względu na Jeffa, który nagrodził ją takim uśmiechem, jakby dokonała najwspanialszego wyczynu.

- Teraz załóż to, chłopcze, dobra? - komenderował Alex spod maski.

Stephanie zgłupiała, ale Jeff mrugnął porozumiewawczo i pokazał, co i gdzie miała założyć. Musiała to jednak zrobić nie tak, jak trzeba, bo nagle coś wpadło do środka z głośnym chlupotem. Nie wiadomo dlaczego wszystko dookoła było teraz obryzgane olejem. Spod kłapy ukazała się twarz Alexa z miną lwa gotowego rozszarpać ofiarę, i cała w czarne piegi. Wściekłość zniknęła z niej natychmiast, gdy rzucił okiem na kaszmirową suknię Stephanie - całą w gustowne kropki.

Jeff patrzył na matkę tak, jakby właśnie dowiedział się, kto jest największą ofermą po tej stronie Atlantyku.

- Boston... - głos Alexa stracił cały impet. Był cichy i łagodny. - Tak mi okropnie przykro. Kupię ci nową. Taką samą.

- Nie bądź niemądry. To nieważne - powiedziała lekko Stephanie i sięgnęła po szmatę, ale szmata była jeszcze brudniejsza niż jej ręce! Stephanie uśmiechnęła się słodko do obu.

- Jeff, najwyraźniej ty radzisz sobie sto razy lepiej ode mnie - powiedziała i uciekła do domu.

Cisza pustej kuchni była taka bezpieczna! Podeszła do zlewu, bez wyraźnego powodu bliska płaczu. Zawiodła Jeffa i tyle. Chciała, żeby się przekonał, że zrujnowany związek rodziców nie wynikał z tego, że ona się nie starała.

Odkręciła kran i sięgnęła po mydło. Kolejne głupstwo! Mydło nie mogło pomóc ani na jej brudne ręce, ani na plamy na sukni, Za plecami usłyszała stukanie. Walter stał w drzwiach i walił ogonem w podłogę.

Pochyliła się, a pies rzucił się ku niej i polizał jej policzek wielkim, ciepłym jęzorem.

- Naprawdę się starałam - wyszeptała. - Naprawdę, Walter. Popełniałam różne błędy, ale nie dlatego, że go nie kochałam. Zmieniłam się. Mógłby przynajmniej to zauważyć. Byłam tak cholernie pewna, że i on się zmienił... ale - nie. Nie zmienił się, Walter. Jedyne, czego zawsze chciał ode mnie - to seks, a ja, jak... głupia...

Jak głupia znowu się zakochała! Byli już dorośli, mądrzejsi. Ciągle go pragnęła. Chciała, żeby ją dotykał. Przez tyle lat spotykała się z innymi mężczyznami, nigdy nic z tego nie wychodziło!

Drzwi otworzyły się cichutko i zajrzał Jeff.

- Wszystko w porządku? - najwyraźniej Alex go przysłał, żeby się upewnić. Wyprostowała się i uśmiechnęła dzielnie.

- Oczywiście, kochanie.

- Zapomniałem ci powiedzieć. Rano był do ciebie telefon. Ten twój Brice coś mówił o jakichś biletach na sobotę. To jutro? Bał się, żebyś nie zapomniała.

Zapomniała. Kompletnie zapomniała! Natychmiast humor jej się poprawił. Tego jej było trzeba! Nie tylko, żeby uciec od Alexa, ale żeby pobyć z innym mężczyzną. Obojętne z jakim.

Następnego dnia Alex podjechał pod dom Stephanie o piątej po południu. Zanim zdążył wyłączyć silnik, Jeff wypadł z domu, jakby go kto gonił. Zmęczony uśmiech rozluźnił nieco twarz Alexa. Jeff wgramolił

się na fotel obok niego wrzucając kule na tylne siedzenie. Miał na sobie marynarkę, białą koszulę i dżinsy ucięte nad kolanem.

- Gazu, tato - powiedział oglądając się nerwowo na dom. Jeff jeszcze tego nie wiedział, ale miał przed sobą długi i denerwujący wieczór.

- Spieszmy się? - zapytał zdziwiony Alex. - Myślałem, że mamy godzinę w zapasie. Koncert zaczyna się o ósmej, prawda?

- Tak, ale może być korek, a do Bostonu daleko. - Jeff popatrzył krytycznie na ojca. - Tato, w twoim wieku nie potrafisz porządnie zawiązać krawata?!

Ręka Alexa odruchowo powędrowała do żółto-szarego węzła. Biała koszula cisnęła go w szyję; marynarka piła pod pachami. Alex nie cierpiał garniturów, sztywnych kołnierzyków i muzyki klasycznej. Mniej więcej w tej kolejności. Ale kiedy Jeff zadzwonił w południe z rozpaczliwą prośbą, żeby z nim poszedł na koncert, Alex nie wahał się ani chwili.

- Tato, ile lat ma ten garnitur?

Alex najeżył się. - Nie za wiele. - Był gotów na wiele ustępstw, zakupy do nich nie należały.

- Włosy masz chyba w porządku.

- Dzięki, stary - ton Alexa był dalej spokojny, ale nieco uważniej przypatrzył się synowi.

Jeff miał rumieńce; nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu. Atmosfera intrygi wprost wisiała w powietrzu!

- Wyglądasz wspaniale. Chciałem tylko, żebyś wyglądał jak najlepiej.

Alex chrząknął. Musiał dać Jeffowi szansę powiedzenia prawdy.

- Czy mógłbyś mi jeszcze raz wyjaśnić, dlaczego właściwie korzystamy z abonamentu twojej mamy?

Zawsze chodzisz z nią na wszystkie koncerty, więc zachodzę w głowę, dlaczego tym razem zaprosiłeś mnie. Nie powiedziałeś mi przez telefon.

- Nie mogłaby ich wykorzystać, a ja uwielbiam Szostakowicza. Szkoda, żeby bilety się zmarnowały. Mówiłem ci. Poza tym, fajnie robić coś razem, nie?

- Oczywiście. (Tak się złożyło, że przez ostatnie dwa tygodnie mnóstwo rzeczy robili razem).

Alex chciał spełnić prośbę syna. Z tego powodu poprzedniej nocy pojechał z Hanoveru do Bostonu. Następnie zabrał go z Bostonu do Hanoveru. Z kolei na koncert musieli odbyć trasę Hanover-Boston i jeszcze wrócić do domu po koncercie. Alex nie wahał się ani chwili i tym razem. Dla tych, których kochał, naprawdę gotów był na wszystko.

- Tato - powiedział Jeff tonem zapowiadającym tak zwaną „poważną rozmowę”. - Wiem, myślisz, że nie lubisz muzyki poważnej, ale pewnie nigdy jej nie słuchałeś. Ja też jej nie lubiłem, kiedy mama zaciągnęła mnie na pierwszy koncert, a teraz myślę, że jest całkiem dobra. Z tym jest tak, jak z rockiem, jazzem, country czy każdym innym rodzajem muzyki, musisz się na nią otworzyć, wiesz?

- To nie ma znaczenia, dopóki tobie się podoba, stary - powiedział Alex myśląc o czymś innym i zrobił wymowną pauzę. - Coś cię wyraźnie niepokoi, synu. Jeżeli chcesz o tym pogadać...

- Nie, nie. Nic mnie nie niepokoi. Zupełnie nic. Wszystko jest w jak najlepszym porządku - Jeff spojrzał na ojca spod oka. Ale przynajmniej spróbujesz to polubić, co, tato?

Alex znów chrząknął z zakłopotaniem. - Jasne. (Polubi skrzypce, jak piekło zamarznie!)

Im byli bliżej Bostonu, tym Jeff bardziej się wiercił. Zanim wysiedli z samochodu, jego twarz zrobiła się dla odmiany kredowobiała. Jak było do przewidzenia, przyjechali godzinę za wcześnie. Zajęli miejsca 3 i 4 w ósmym rzędzie.

Na ogół ludzie ubierają się na koncerty dość swobodnie. Ten wieczór jednak musiał być szczególną okazją. Wśród leniwego strumienia widzów wolno spływającego do sali widać było mężczyzn ubranych różnorodnie, od ciemnych garniturów do smokingów, natomiast panie pojawiały się od czasu do czasu w

futrach i jedwabiach. Na wielu dekoltach połyskiwały klejnoty, a różne wonie perfum mieszały się w powietrzu w odurzający koktail.

Alex nigdy nie czuł się swobodnie wśród intelektualistów. Dziś jednak było inaczej. Znalazł wygodne oparcie, założył nogę na nogę i z uwagą obserwował rosnące z każdą minutą podniecenie Jeffa. Doświadczał przy tym pewnego pomieszania uczuć - winy, rozbawienia i frustracji. Chciałby ulżyć cierpieniom syna i nie podobała mu się myśl, że Jeff powinien poznać życie od mniej przyjemnej strony. Ale gdyby Jeff nie był tak bardzo podobny do niego samego, Alex z pewnością postąpiłby inaczej.

Kiedy orkiestra Filharmonii Bostońskiej stroiła instrumenty, współczucie wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem. Lekcja z pewnością mogła już być zakończona. Jeff zagryzał wargę i o mały włos nie skrzył sobie karku starając się zobaczyć, co się dzieje za jego plecami.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o kilku sprawach - zaczął Alex.

- Teraz?

- Teraz. Po pierwsze, myślę, że lepiej będzie, jak pozbędziesz się tych magazynów z panienkami, które masz pod materacem, zanim matka je znajdzie. Jeff zrobił się lekko purpurowy.

- Po drugie, kiedyś pewnie przyjdzie taki dzień w moim życiu, że będziesz mógł mnie przechytryć i wykołować, synu. Życzę ci powodzenia. Tymczasem jednak możesz sobie oszczędzić wielu cierpień, po prostu pamiętaj, że jestem po twojej stronie. Mów, nie ukrywaj swoich problemów - Alex zawiesił głos.

- Jest tylko jedna sprawa na świecie, w której raczej nie jestem po twojej stronie. Może cię to zaskoczy, ale jestem w stanie sam sobie poradzić z moimi sprawami sercowymi.

Jeff starał się słuchać uważnie, ale nie mógł. Utkwił wzrok w najwyższym punkcie amfiteatru. Nagle purpura na jego twarzy ustąpiła miejsca bledości.

- Tato - wyszeptał gorączkowo - muszę ci coś powiedzieć.

- Musisz?

- Tylko że nie ma czasu! I boję się... że mnie zamordujesz - spojrzał w oczy ojcu. - I to zaraz

- dokończył z rozpaczą.

Alex podążył spojrzeniem za wzrokiem syna. Kilka osób właśnie wchodziło na salę - stara dama obwieszona brylantami, para młodych ludzi, najwyraźniej na randce, dwie kobiety w aksamitnych pelerynach... Za nimi szedł wysoki jasnowłosy okularnik z krótko przystrzyżoną bródką, a przy nim wspaniała blondynka w jedwabnej sukni doskonale podkreślającej jej świetną figurę. W uszach i na szyi miała bursztyny. Wyglądała kosztownie, pociągająco i miała klasę!!

Alex przylgnął spojrzeniem do jej smukłych palców wspartych na ciemnym rękawie partnera. Odwróciwszy się szybko do Jeffa powiedział. - Ja cię nie zamorduję, ale twoja matka na pewno. Dlatego też - dodał spokojniej - przesiądziesz się na moje miejsce. Będziesz poza jej zasięgiem.

- Przyjęcie... będzie na pewno zabawne, Brice - mówiła Stephanie - ale wolałabym nie wracać zbyt późno do domu.

- Mówiłaś, że Jeff jest z twoim byłym mężem.

- Tak, ale wybierają się tylko do kina i na pizzę. Pewnie nie wrócą późno, być może Alex będzie musiał jeszcze dzisiaj wracać do Bostonu - doszła do pierwszego miejsca ósmego rzędu i z uśmiechem spojrzała na ludzi zajmujących sąsiednie krzesła. Błękitne oczy spotkały czarne. Zamarła.

- Stephanie? - odezwał się Brice za jej plecami. Krzesło było wyściełane. Była za to wdzięczna losowi. Torebka wysliznęła się z jej ręki. Stephanie przybrała minę zarezerwowaną na okazje klęsk żywiołowych typu trzęsienia ziemi, huragany, lub byli mężowie wyskakujący z kapelusza czarodzieja. Och, tak, zauważyła syneczka kulącego się tchórzliwie za Alexem. Najpierw jednak postanowiła zadbać o swego partnera.

- Brice, poznałeś mojego syna, prawda?

- Jeffa? Oczywiście. Miałem...

- Przywitaj się Jeff - syknęła.

- Hallo, panie Rivers - Jeff starał się jeszcze coś szybko powiedzieć. - Mamo, trochę zmieniliśmy zdanie co do kina...

Jak nigdy dotąd, Stephanie kompletnie go zignorowała. Mówiła wyłącznie do Brice'a. - A obok mnie siedzi mój były mąż, Alex Carson. Nie sądzę, żeby panowie się znali.

- Ja... - nie. (W duchu przyznała Brice'owi punkt za lizusostwo). Policzki mu zeszywniały, rzucił jej zirytowane spojrzenie, ale natychmiast wyciągnął rękę.

- Brice Rivers. Nieoczekiwane spotkanie, muszę przyznać.

Ich dłonie spotkały się tuż przed nosem Stephanie. Był to krótki, formalny, nie znaczący gest. Wystarczył jednak w zupełności, aby zauważyła, że jedna dłoń była białą, wymanicuirowaną ręką profesora, druga

- opaloną, twardą, spracowaną, jedyną na świecie, ręką Alexa.

- Przepraszam za tę kłopotliwą sytuację - powiedział Alex.

- Nie ma sprawy, nie ma sprawy - odparł Brice.

- Wszyscy chcemy posłuchać muzyki, nieprawdaż? Światła przygasły i wielkimi fanfarami rozpoczęła

się symfonia. Serce Stephanie waliło jak szalone, w głowie szumiało, co nie miało wiele wspólnego z muzyką. Wciśnięta w fotel czuła się jak między młotem a kowadłem.

Ani razu nie spojrzała już na Alexa; i tak zobaczyła wystarczająco wiele. Sztywny kołnierzyk wpijający mu się w szyję; smutny wyraz twarzy; wielokrotnie przeczesywane palcami włosy; okropny krawat. Alex zawsze wybierał takie krawaty! Gotowe garnitury nigdy na nim dobrze nie leżały. Ponadto - dokładnie znała jego zdanie na temat muzyki poważnej.

Szok spowodowany nieoczekiwanym spotkaniem minął, a jej własne cierpienia ostatnich kilku dni przybladły. Teraz przede wszystkim mu współczuła. I była bezradna! Przy pierwszym spokojniejszym fragmencie utworu poza plecami Alexa sięgnęła ramienia Jeffa. Nie chciał na nią patrzeć.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego ojcu!?! - syknęła wściekle.

Trąbki znowu się odezwały, zawtórowały oboje. W półmroku połyskiwały rożki francuskie. Przez dwadzieścia minut nie było wkoło nic poza wielką muzyką. Ręka Alexa uniosła się dyskretnie kryjąc ziewanie. Natychmiast odezwał się szept Jeffa. - Tato, postaraj się!

Stephanie wybuchnęła tłumionym chichotem, któremu w ułamku sekundy zawtórował niski i cichy śmiech Alexa.

Ramiona Brice'a zeszywniały, a Jeff po raz pierwszy od kilku godzin odetchnął swobodnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy światła samochodu Brice'a zniknęły za zakrętem, Stephanie szybko weszła do domu. Mimo, że Brice starał się jechać szybko, Alex z Jeffem znacznie ich wyprzedzili.

Odpinając narzutkę, zajrzała do salonu. Marynarka i krawat Alexa zwisały smętnie z poręczy krzesła, on sam stał oparty niedbale o kominek. Ich oczy spotkały się. Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach. Cofnęła się gwałtownie. Musiała przecież powiesić ubranie w garderobie.

- No dobra, gdzie on jest? - zapytała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Śpi.

- A... gdzie jest pies?

- Też na górze. Z Jeffem.
- Przyniosę ci piwo. Alex...
- Nie, dziękuję.

Cóż, ona w każdym razie potrzebuje drinka! Z nie pozbawioną wdzięku godnością przeszła przez pokój. Nalała wina z karafki i zaraz odstawiła kieliszek, jakby o nim zupełnie zapomniała, i zainteresowała się mankietami przy sukni.

- Nie wiem, Alex, z czego się śmieliśmy, bo to wszystko wcale nie było zabawne - powiedziała poważnie.
- Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości.
- Nasz syn... - zawiesiła głos, jakby w obawie przed straszną przyszłością ich potomka.

Dziwne rzeczy dzieją się ze zdrowym rozsądkiem dwojga ludzi, którzy śmieją się razem. Reszta tego wieczoru była jednym wielkim faux pas. Alex był blisko. I fizycznie, i psychicznie. Przypadkowe dotknięcie ramienia, zapach, świadomość jego bliskości zachwiały jej wewnętrzną równowagę.

W antrakcie Brice zachowywał się tak, jak powinien zachowywać się mężczyzna na randce - zabrał ją do bufetu; dotykał dłonią jej pleców, kiedy przeciskali się przez tłum; pochylał ku niej głowę, żeby w ogólnym gwarze lepiej słyszeć, co mówi, ale ona cały czas czuła na sobie wzrok Alexa i miała poczucie, że dopuszcza się zdrady. A przecież nie robiła nic złego! Właściwie nigdy nie robiła nic złego z Brice'em, za to Alex z pewnością nie żył przez te wszystkie lata w celibacie.

Nie tylko czuła się winna. Była rozdrażniona i rozbita. Po drodze do domu ścięła się z Brice'em, bo śmiał napomknąć, że Jeff nieco wymknął się spod jej kontroli.

Bawiący się w swatkę syn rzeczywiście wyraźnie wymykał się spod jej kontroli. Dopóki nie myślała

o Jeffie, mogła też nie myśleć o czarnookim mężczyźnie wspartym o kominek, o jego gęstych, ciemnych włosach i gorzkim uśmiechu.

- Nie mogę pojąć, w jaki sposób Jeff nakłonił cię do pójścia na koncert. Wiem, że nie cierpisz takiej muzyki - zawiesiła głos, czekając na wyjaśnienie. - Alex, musimy coś z tym zrobić.

- Ja już zrobiłem. Nie przypuszczam, żeby prędko miał ochotę wtrącać się w nie swoje sprawy.

- To już coś. Ale wciąż nie rozumiem, co on chciał przez to osiągnąć?!

- A ja chyba wiem - Alex spod oka obserwował Stephanie przechadzającą się nerwowo po pokoju. Każdemu jej ruchowi towarzyszył cichutki szelest jedwabnej sukni.

Nie zapomniał jej... wielu rzeczy. Ale nie miało to większego znaczenia, kiedy odgadł, dlaczego Jeff tak go namawia na tę eskapadę. Nie tylko zazdrość kazała mu wziąć w niej udział, ale i męska solidarność. Stephanie jest niebezpieczną kobietą. Niebezpieczną, nie ufającą nikomu i kłopotliwą. Stanowczo nie mógł narażać na takie niebezpieczeństwo innych przedstawicieli własnej płci. Gdyby jej znajomy był na tyle nieostrożny, żeby wejść z nią do domu, na pewno poradziłby mu, żeby czym prędzej się wynosił. Może nawet przy pomocy „mocniejszych argumentów”

Do cholery, kocham tę kobietę - uświadomił sobie. W tej chwili jednak z przyjemnością obserwował, jak nerwowo miota się po pokoju - wzięła kieliszek do ręki i odstawiła go znowu; włożyła ręce do kieszeni.

- Jeffowi wydawało się - powiedział Alex łagodnie

- że spotykasz się z palantem.

Zarumieniła się. - Brice wcale nie... To bardzo porządny człowiek.

- Napij się wina - zasugerował.

- Nie chcę wina!

Aha. A więc jesteśmy w bardziej trzeźwym nastroju.

- Oczywiście, masz rację. Wygląda na bardzo porządnego, spokojnego profesora. Jak twój ojciec

- zawsze w porządku i na swoim miejscu. Słowom takiego człowieka zawsze można ufać.

Śmieszne, jak niewiele słów mogło tak wiele znaczyć. Stephanie zatrzymała się naprzeciw Alexa w pół kroku.

- Nigdy nie wątpiłam w twoje słowo, Alex - zapewniła cichym głosem?

- Czyżby?!

Uchwyciła błysk płomienia w jego oczach. Jak gdyby przez przypadek znalazła się w pobliżu dzikiej bestii. Poczula się nagle jak w potrzasku - słaba i zagrożona.

- Rozmawialiśmy o Jeffie.

- A ja myślałem, że rozmawiamy o zaufaniu. Odwróciła się do niego plecami.

- Jeff musiał dostać nauczkę za wtykanie nosa w cudze sprawy. - I dostał. To mamy z głowy. Niepotrzebnie tracisz czas, obwiniając go o to, co się stało. Poszedłem z własnej woli, bo wiedziałem, że będziesz tam z innym mężczyzną. To była mała bomba. Ale nawet mała bomba w spokojnym salonie może być niebezpieczna. Stephanie całym ciałem odczuła siłę eksplozji.

- Alex... - oblizwała nagle wyschnięte wargi. - Jeżeli wydaje ci się, że nie mam prawa spotykać się z nikim innym tylko dlatego, że raz przespaliśmy się...

- Problem - przerwał jej Alex tonem najłagodniejszej perswazji - polega na tym, co to dla ciebie znaczyło. Nie chodzi o moje uczucia, tylko o twoje.

- Cały tydzień - zaczęła z żarem. - Cały tydzień ani razu nie dałeś mi poznać, że ci na mnie zależy choćby odrobinę... Cały tydzień! Żebyś chociaż raz mi powiedział, że ci zależy...

- Zależy? To jest letnie słowo, kochanie. W najmniejszym stopniu nie oddaje tego, co do ciebie czuję. Nigdy nie oddawało i nigdy nie będzie!! - niemal

fizycznie odczuła wibracje jego gniewu. Ogarnęły ją sprzeczne uczucia - niepokoju, że znowu sprawiła mu ból, kiedy przecież za nic tego nie chciała, i miłości, która była silniejsza od wszystkiego. Tak bardzo chciała go uspokoić, wygładzić zmarszczki wokół oczu, zmienić ostre linie wokół ust na miękkie i łagodne, i jednocześnie obronić się przed mężczyzną, który tak łatwo mógł ją boleśnie zranić.

- Czego ty chcesz ode mnie, Alex?

- Kochasz mnie? - zapytał po chwili. Wszystkiego mogła się w tej chwili spodziewać, ale

nie tego pytania! Jej oczy wyrażały odpowiedź płynącą z głębi duszy, ale z ust nie padło ani jedno słowo.

- Ach, Boston - powiedział cicho - tak chciałbym tobą wstrząsnąć. Gdybym choć przez chwilę wierzył, że to coś pomoże, wierz mi, zrobiłbym to dawno.

- Alex...

- Tak się cholernie boisz ujawnić swoje uczucia! Myślisz, że nie rozumiem? Uczciwość w sprawach emocji to bardzo trudna sprawa. Od tego musimy zacząć, i muszę wiedzieć, co czujesz, a nie zgadywać - wyprostował się i spojrzał na zegar na przeciwległej ścianie. - Późno już.

- Tak - westchnęła z pełnym zrozumieniem - szczęśliwa, że zmienił temat.

- Nie pojedę już dzisiaj do miasta. Jestem wykończony. A zajazd jest pełny, jak to w weekendy.

Ich oczy spotkały się na pełne trzydzieści sekund. Zaufanie! Oskarżał ją o brak zaufania, a przecież zawsze mu ufała.

- Dobrze - powiedziała - wiesz, gdzie jest pokój gościnny.

Nie zapalając światła w sypialni zamknęła drzwi i zdjęła suknię. Przez okno wpadała poświata księżyca.

Zawodzący wiatr szarpał nagimi gałęzmi, które uderzały o szyby. W taką noc najlepiej wsunąć się pod koc i przytulić mocno do kogoś. Poczuć się ciepło i bezpiecznie.

Wyciągnęła szpilki z włosów, wyszczotkowała je od niechcienia, zdjęła bieliznę i weszła do łóżka. Było tak późno, a mimo to zamiast usnąć, słuchała wycia wiatru.

Mniej więcej po godzinie usłyszała skrzypnięcie drzwi. Był to dźwięk najcichszy z cichych odgłosów śpiącego domu.

Odwróciła głowę i spojrzała na ciemniejszy kształt w drzwiach. Był nagi. - Alex? - powiedziała cichym głosem, w którym nie było zdziwienia.

Bez słowa zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Przeszedł przez pokój i zatrzymał w nogach jej łóżka. Stał cicho i patrzył. Włosy Stephanie srebrzyście połyskiwały w ciemności, jej twarz i szyja były jak utkane z mgły, a oczy błyszczały niby wieczorne gwiazdy.

Była tak samo młoda i krucha, jakby znowu miała siedemnaście lat. Rozgniewało go to. Niezaspokojone uczucie pożądania, gniewu i rozczarowania mieszały się w jego duszy. Oboje się zmienili, dorośli, dojrzeli. Prawdziwe zagrożenie, które kiedyś ich rozdzieliło, przestało istnieć, stało się częścią ich wspólnej przeszłości.

Wszystko się zmieniło, poza najważniejszym - zaufaniem, wiarą. Pamiętała o tamtej rudowłosej kobiecie. Nie miał pojęcia, że hodowała w sobie to wspomnienie przez tyle lat. Mógł się bronić, ale nie zrobił tego i nigdy nie zrobi. Musiał jej to udowodnić. Jeżeli będzie to wymagało okazania gniewu - to będzie gniewny. Jeżeli uderzenia w najczulszą strunę jej duszy - nie cofnie się i przed tym.

Pochylił się i wolno zaczął ściągać z niej koc. Przez chwilę poczuł opór. Trzymała koc, ale zaraz rozluźniła palce. Cał po calu ściągał koc odkrywając jej gładkie, białe piersi, płaski brzuch, okryty cieniem zakręt jej bioder, przybrany skrawkiem jedwabiu, i uda.

Nagle zadrżała. - Chciałabym wierzyć, Alex,

- powiedziała cicho - że gdybym powiedziała „nie”, nie zmusiłbyś...

- Będę cię teraz kochał - powiedział aksamitnym głosem.

Potrząsnęła głową. - Tak, ale nie zrobiłbyś tego, gdybym ja... - słowa uwieźły jej w gardle, kiedy wsunął się do łóżka. Było ciemno. Zbyt ciemno. Był bardziej cieniem niż realnym kształtem, bardziej nieznanym niż kochankiem. Bała się. Pierwsze zetknięcie nagich ciał było jak rażenie prądem - szok i przyjemne ciepło. Usta Alexa dopadły w ciemności jej ust. Pocałunek miał taki ciężar, że głowa Stephanie zapadła się w poduszkę. Serce zatrzepotało jak gołąb w potrzasku. Jej piersi, ręce, skóra były pobudzone do granic wytrzymałości.

Po chwili Alex uniósł głowę. Ciemne oczy wpatrzyły się w błękitne. Niewiarygodnie delikatnie przeciągnął kciukiem po linii jej podbródka.

- Tyle lat cierpiałś z tego powodu, prawda?

- wyszeptał. - Tak świetnie potrafisz ukrywać uczucia, prawda? Nawet przed samą sobą. Kiedy zaczęłaś mówić o tej kobiecie, wierzyłaś, że pragniesz mi wybaczyć, zapomnieć. Ale przedobrzyłaś, Boston, bo wcale nie zapomniałaś!

- Nie...

- Będę cię teraz kochał - wymamrotał. -I w żaden sposób nie możesz mnie powstrzymać, wiedz to! Zaczniemy od tego, bo, do cholery jasnej, już nie wiem, od czego mam zacząć. Nie zamykaj się w sobie, kochana. Rozgniewaj się, wyrzuć wszystko z siebie. Powiedz mi, jak cierpiałś.

Zapanowało milczenie, a potem z ciemności wystrzeliła ręka i zamierzyła się, by uderzyć. Nie trafiła, bo uchylił głowę przyciskając usta do jej ust, obejmując ją rękami i nogami. Była wściekła. Nagle okropnie wściekła. Powróciła do tego wieczora w siedemnastym roku jej życia, kiedy ojciec powiedział jej o tej jego... dziewczynie. Miała znowu siedemnaście lat, była rozpieszczona i zagubiona, i niepotrzebna nikomu, i przestraszona, i... być może i tak nie było żadnych szans, żeby im się udało, ale, do cholery, kochała go. Kochała go każdą najmniejszą komórką ciała. Kochała go całym sercem, ciałem i umysłem. To, że spał z inną kobietą, rozdarło ją na pół.

Uderzyła pięściami w jego plecy, ale nie zmniejszyło to siły jego pocałunków. Gorące łzy napłynęły jej do oczu, przecisnęły się spod zamkniętych mocno powiek, kiedy usiłowała znowu go uderzyć. Była wściekła, a nie zraniona.

Jęk wydarł się z jej ust, kiedy jego wargi ześliznęły się do najdelikatniejszego miejsca na szyi i w dół ku piersiom. Chciała znów go uderzyć, chciała zadać taki ból jego ciału, jaki on zadał jej duszy. Bardzo chciała nie myśleć o niczym, tylko o tej rudej. Ale w ciemności jej sypialni było ich tylko dwoje, nie troje. Zawsze, kiedy byli razem w łóżku, wszystko inne przestawało istnieć. Nie istniał świat, traciła poczucie miejsca i czasu. Tylko Alex. Im bardziej gwałtowne i spontaniczne były jej reakcje, tym delikatniejsze stawały się jego pieczyoty, jak gdyby w podzięcie za jej uwolniony gniew. Łagodził każdą emocję, którą zechciała wyrazić, i domagał się uczciwości.

Wygięła się jak łuk, kiedy przesunął językiem pod każdą z jej piersi. Zamknął je w dłoniach i delikatnie potarł zębami ich sutki. Przytknął do nich wargi, jakby chciał wysssać cały gniew, a w zamian napęlić czymś wzbierającym gwałtownie i gorącym. Pragnieniem.

- Alex, nie chcę.

- Akurat, nie chcesz! I będziesz chciała jeszcze, Boston - obiecał szeptem. - Będziesz umierać z pragnienia, zanim skończę. Będziesz krzyczeć, czego naprawdę chcesz.

Nie był... uprzejmy. Nie był dobrze wychowany. Latami szukała takiego mężczyzny. Znalazła ich wielu. Jedynym problemem było to, że żaden nie był Alexem. Dotykał językiem tam, gdzie inny mężczyzna nigdy jej nie dotknął. Nie słuchał jej błagań. Na przemian sprawiał, że czuła się niewinna jak mały kotek i wyuzdana jak dziwka. Alex żądał tego wszystkiego, i jeszcze więcej. Szeptał słowa zachęty, ośmielał, żeby wzniosła się z nim jeszcze wyżej. Chciał, aby raniła paznokciami jego skórę, i żądał najczulszych pocałunków. Oczekiwał jej bezwstydných gestów i słów.

Ciało Stephanie stało się gładkie jak mokry jedwab, zanim jego udo wśliznęło się między jej uda. Gdy wdarł się w nią, oplótł ją biodra udami, a miłość, obawa i pożądanie zmieszały się z namiętnością, słodyczą i delikatnością. Nikomu innemu nie udało się wywołać nawet połowy tych gwałtownych i dzikich uczuć. Krzyknęła, a jego usta pochłonęły ten krzyk. Zdawała sobie sprawę, że ze względu na syna, którego poczęli razem, dawno temu powinna zachowywać się cicho, ale nie miała ochoty być cicho. Chciała krzyczeć i szlochać, gdy każdym ruchem ciała zbliżał ją do ekstazy, ciągle jeszcze odmawiając jej najwyższego uniesienia.

- Powiedz mi - wyszeptał.

- Pragnę cię!

- Nie to... - Kocham cię, Alex, ty draniu!

Jej ciało poderwał spazm. Usłyszała jęk rozkoszy Alexa i poczuła, jak przelewa w nią całą swą miłość. Czowała jej realny wymiar.

Cienie w pokoju znów odzyskały kształty. Wiatr dalej wył za oknem, a Alex gładził jej włosy, całował jej skronie, policzki, szyję.

- Nie próbuj się z tego wymigać, kochana - szepnął niewyraźnie. - Nie po tym wszystkim.

Kiedy jej ciało ochłonęło, otulił ich oboje kocem.

- Jeff - przypomniała sobie.

Uciszył ją pocałunkiem. - Pójdę, zanim się obudzi. Teraz cię przytulam.

Tak bardzo potrzebowała, żeby ją obejmował. Już z nim nie walczyła.

Miesiąc później na ziemi leżał już pierwszy, błyszczący śnieg. Will Randolph stał w salonie opierając ręce na biodrach. Wyciągnięta na drabinie Stephanie upinała dekoracje między oknami. Meble odsunięto od ściany. Porcelanowe figurki zniknęły. Pies, zauważył Will, chrapał na swoim ulubionym miejscu w rogu białej kanapy. Stereo Jeffa stało na dywanie, a tuzin kolorowych twarzy spoglądało ku Willowi z okładek płyt.

- Ci ludzie nie są dokładnie ubrani - zauważył cierpko Will.

Stephanie roześmiała się. - To są łagodne obrazki. Gdybyś widział te albumy, które znosi do domu.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą grać dobrej muzyki mając na sobie ubrania - jeżeli te stwory są w ogóle ludźmi! I jeżeli na tych płytach jest muzyka!

Ciągle się uśmiechając, Stephanie zeszła z drabiny i krytycznym spojrzeniem omiotła pokój.

- Myślisz, że starczy tych dekoracji?

- Wystarczyłoby nawet w cyrku - zapewnił ją ojciec. Podeszła do niego z poczuciem winy w oczach.

- Tato, obiecałam Jeffowi tę prywatkę już kilka miesięcy temu. Nigdy dotąd nie prosił mnie o nic podobnego. Chcę, żeby się udała.

- Nie uważasz, że jest trochę za młody na prywatkę z dziewczynami?

- Uważam, że jest znacznie za młody - Stephanie zebrała pozostałe rolki krepiny i ruszyła do kuchni.

- Ale chcę poznać jego przyjaciół i wolę, żeby przychodzili tutaj, niż żeby Jeff chodził nie wiadomo gdzie i robił nie wiadomo co.

- Moim zdaniem dzieci za szybko teraz dorastają

- mruczał Will idąc za nią do kuchni. - Gips mu już zdjęli?

- Jeszcze dwa dni.

- Jeff zdaje się wspomniał, że Alex ma być na tej zabawie?

- Tak, wpadnie - Stephanie zatrzasnęła lodówkę nie patrząc na ojca i zajęła się tacami z przekąskami.

- Zaraz muszę się ubierać, tato.

- Przestań się krzątać i usiądź tu ze mną na sekundę.

- Tylko na pięć minut - zgodziła się i zdmuchnęła I pasemko włosów z policzka. Usiadła za stołem | naprzeciw ojca. Kiedy wspomniał o Alexie,

wiedziała, że będzie miał więcej do powiedzenia. Na tę rozmowę zanosilo się od paru tygodni.

- Alex teraz znacznie częściej tu bywa niż kiedyś

- zaczął Will.

- Odkąd wrócił do Bostonu, łatwiej mu odwiedzać Jeffa.

- Odwiedzać Jeffa - powtórzył Will jak echo.

- Zabawne, tego dnia, kiedy zabrałem Jeffa do kina, jego samochód też stał przed domem.

Takie okazje - pomyślała - zdarzały się nieczęsto. Alex odjechał tej nocy, kiedy byli na koncercie, i nie pokazywał się przez cały długi, samotny tydzień. Wrócił pewnego, pięknego, jesiennego poranka, kiedy Jeff był jeszcze w szkole. Wrócił, popatrzył na nią i za chwilę byli już w łóżku.

Było jeszcze parę okazji takich jak tamta, ale nie łatwo było zorganizować czas bez Jeffa.

Coraz bardziej ciążył jej ich tajny układ. Stephanie schudła parę kilo, miała delikatne cienie pod oczami, co zresztą przydało dodatkowego uroku jej przejrzystej cerze. Kiedy zostawali z Alexem sami, wybuchał płomień. Prawie nie rozmawiali ze sobą, ale za każdym razem, kiedy odjeżdżał, czuła, że ciągle na coś czeka. Na coś, co jeszcze powinna mu dać, chociaż już przecież oddała mu wszystko. Mówiła o miłości, on - nie. Dla niej nie był to tylko seks, ale wydawało się, że nie ma już sposobu, żeby przerwać milczenie między nimi.

- Nie jest to dobre dla ciebie, Stephanie - powiedział Will gorzko. - On nigdy nie był dla ciebie odpowiedni.

Wykorzystał cię. Byłaś niewinną panienką, a on ciebie wykorzystał i skrzywdził...

Potrząsnęła głową. - Ja go też skrzywdziłam - powiedziała cicho.

- A teraz stara się zacząć wszystko od początku, prawda? Przez jakiś czas myślałem, że poważnie myślisz o tym Brice'ie...

Znowu potrząsnęła głową. Bez sensu wydała jej się próba tłumaczenia, że Brice wydał jej się bezbarwny w porównaniu z Alexem. - Tato? Pamiętasz tę noc, kiedy wróciłam z tobą do domu?

- Nigdy jej nie zapomnę.

- Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś? Zmęczone oczy Willa rozbłysły. - Opowiedziałem

ci dokładnie to, co wtedy widziałem - powiedział stanowczo. - Przejeżdżałem koło waszego domu. Obok garażu były schody prowadzące na piętro...

- Tak.

- Był ciepły wrzesień, na dworze było jeszcze całkiem jasno. Była młoda, miała czerwone włosy i nosiła szorty. Kiedy weszli na schody, objął ją i pocałował. Śmieli się.

Krzesło Stephanie stuknęło trochę za mocno, gdy odstawiała je z powrotem.

- Wiem. Nie wiem, dlaczego cię w ogóle pytałam. Teraz już naprawdę muszę się ubierać. Koledzy Jeffa będą tu za godzinę. - Zatrzymała się jednak na chwilę, żeby jeszcze raz przypatrzeć się twarzy ojca. Chciała zobaczyć w niej kłamstwo. Chciała wierzyć, że wymyślił tę historię, żeby ją wyrwać z tego związku, który zawsze uważał za beznadziejny. Byłoby to kłamstwo z miłości. Teraz, kiedy miała własne dziecko, potrafiłaby zrozumieć.

Nie znalazła jednak winy w jego twarzy. Zobaczyła jasne, błękitne oczy, uczciwość i prawość.

Will wstał. - Nie będę ci przeszkadzał. Życzę udanej zabawy.

- Dzięki, tato.

- Pozdrów Jeffa.

- Dziękuję.

- Kochanie... - Will zawahał się, patrząc gdzieś w przestrzeń za oknem. - Może nigdy nie powinienem był ci mówić o tej dziewczynie. Nie chciałem cię zranić.

- Och, wiem, tatusiu - powiedziała miękko, ale wydało jej się, że Will jej nie słucha.

- Rzecz w tym, że nie miałaś nikogo poza mną, kto by cię obronił. Nie chodzi o to, że nienawidziłem Alexa, ale wiedziałem, że nie jest dla ciebie odpowiedni. Że cię skrzywdzi. Wiem, że wtrącałem się bardziej... - zawiesił głos.

W sobie tylko właściwy, pedantyczny sposób włożył płaszcz, zapiął go dokładnie i równie starannie włożył szalik.

- Może jako ojciec popełniłem poważne błędy, a może nie - powiedział głucho. - Kiedy cofam się myślą... Zawsze tak bardzo pragnąłem wiedzieć, jak postąpiłaby twoja matka. Nigdy się nie dowiemy. Ale jestem pewien, że gdyby cię teraz zobaczyła, zrobiłaby coś, żebyś nie była taka nieszczęśliwa... To znaczy, zrobiłaby wszystko... - chrząknął. - Nie będę się więcej wtrącał. Ani wygłaszał opinii. I myślę, że... zdziwisz się, jak prędko potrafię zaakceptować każdego mężczyznę, który uczyni cię szczęśliwą.

Stephanie przytuliła go mocno i uśmiechnęła się promiennie. Nigdy nie spodziewała się tego po ojcu.

Zaakceptować Alexa? Kiedyś oddałaby wszystko, żeby go tylko zaakceptował. Teraz było już za późno. Alex pragnął jej, ale chyba już jej nie kochał.

Trudno było powrócić do zabawowego nastroju, ale musiała to zrobić ze względu na Jeffa. Znacznie jej to ułatwił, chodząc za nią krok w krok, kiedy starała się dokończyć toaletę.

- Nie będziesz za dużo się płatać, co? - zapytał po raz trzeci.

- Obiecuję.

- Ani tata? Powiesz mu, kiedy przyjedzie?

- Dołożę wszelkich starań, żeby zrozumiał, że nie powinien za dużo się kręcić.

- I żadnego stania w drzwiach, kiedy będziemy tańczyć.

Stephanie odwróciła się od toaletki i poklepała go po policzku.

- Jeff - powiedziała poważnie - zrobimy absolutnie wszystko, żebyś nie musiał się za nas wstydzić.

- Ja? Wstydzić się? Wy mnie nie zawstydzacie, nie o to chodzi. Cholerka, wszyscy moi koledzy was lubią. Ja też was lubię, tylko...

- Wiem, kotku. Po prostu chcesz, żeby wszystko wyszło świetnie.

Jeff skończył czesać włosy i obrzucił jej strój krytycznym, męskim okiem. Wybrała prostą jedwabną bluzkę w kolorze koralu, białe spodnie i złoty łańcuch w pasie. Za radą Jeffa miała rozpuszczone włosy spięte na bokach grzebieniami. Twierdził, że z upiętymi włosami za bardzo wygląda na przyzwoitkę.

- Julie spodoba się ten kolor.

- Julie? Któż to jest ta Julie, o której ciągle mówisz?

- Jedna z dziewczyn, które tu będą. Wiesz, wyglądasz całkiem, całkiem, mamó - dodał z uśmiechem.

- Jeżeli rzeczywiście słyszysz nutkę zaskoczenia w twoim głosie...

Przerwał jej dźwięk dzwonka do drzwi. Oboje rzucili się w kierunku schodów. Mimo kul Jeff był pierwszy. Po godzinie nieustannego paplania Stephanie zaskoczyło to, że nagle zupełnie oniemiał, otworzywszy drzwi. Dziewczyna na progu nie prezentowała zapierającej dech w piersiach urody.

Była ubrana w dobre dżinsy i sweter w kolorze morwy. Miała słodki uśmiech, naturalnie różowe policzki i ciemne, kędzierzawe włosy.

- Cześć, Jeff - powiedziała nieśmiało.

- Cześć.

I cisza. Stephanie chrząknęła i zrobiła krok do przodu, raczej zaskoczona chropawymi manierami własnego syna.

- Cześć, nazywam się Carson. Wejdz. Jesteś pierwsza i to się świetnie składa. Pomożesz wybrać muzykę na początek.

- Tata przyjedzie po mnie o jedenastej.

- Doskonale. A na imię masz... (skoro Jeff zamienił się w słup soli...)

- Julie. Julie Baker.

Aha, Julie. Stephanie powinna była domyślić się sama. Oby wszystkie dzieciaki było tak łatwo zabawić! Wyglądało na to, że tym dwojgu wystarczy, że będą tak stać i gapić się na siebie. Stephanie taktownie postanowiła wycofać się do kuchni.

- Muszę jeszcze coś przygotować.

- W porządku, mamó.

- Miło panią poznać, pani Carson.

Dwadzieścia minut później Stephanie ciągle jeszcze uśmiechała się do siebie. Tylne drzwi otworzyły się, Alex wpadł do środka i skrzywił się słysząc głośną muzykę z salonu.

- Przepraszam, że nie dałem rady być wcześniej. Paskudny ruch na drogach!

Myślała o przyjęciu. Nie, myślała o dziewczynie imieniem Julie i o napełnieniu chrupkami mnóstwa miseczek, i o tym, ile hamburgerów powinna wsadzić do grilla.

Alex wniósł ze sobą listopadowy chłód. We włosach miał drobniutkie płatki śniegu, poruszał się z energią. Patrzył na nią, nie ukrywając pożądania.

Kilkanaście pomysłów zawirowało w głowie Stephanie, a wszystkie przypominały marzenia, którymi się karmiła, kiedy nie było go przy niej. Nie mogła już dłużej ciągnąć tego romansu. Jeżeli Alex jej nie kocha, to będzie musiała znaleźć w sobie wystarczająco wiele dumy, żeby go raz na zawsze usunąć ze swego życia.

Ale kiedy tylko Alex był przy niej, uświadamiała sobie, że gotowa jest uczynić wszystko, żeby go przy sobie zatrzymać na każdych warunkach.

Alex strząsnął z ramion stary skórzany płaszcz; rzucił okiem najpierw na zamknięte drzwi do salonu, a potem znów na nią, szacując ją od stóp do głów, tak jakby wyłącznie siłą spojrzenia mógł z niej zedrzeć ubranie i wszelkie skrupuły. Jak szybko mogę cię zabrać do łóżka? - zdawały się pytać jego oczy.

- Udało ci się jakoś przetrwać?

Nie - pomyślała ze strachem. - Nie mogę dalej próbować przetrwać w ten sposób - pragnąc cię tak bardzo i drżąc o to, czy ty mnie kochasz.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Staram się jak mogę - odparła beztrąsko. - Zważywszy, że dzieciaki są tu niecałe dwadzieścia minut i już pochłonęły piętnaście kilo chrupek; uwzględniając fakt, że nie ma sposobu, żeby dostarczyć wody sodowej dla dwudziestu czterech nastolatków, i że zostałam tu przysłana, żeby przygotować sos jogurtowy, bo Julie go lubi...

- Julie? A któż to jest Julie?

- Za chwilę z pewnością się dowiesz.

Alex pochylił się i zajrzał pod stół. - Widzę, że ten pies ma więcej rozumu, niż przypuszczałam. Naprawdę możesz spać w tym hałasie, Walter? - znowu popatrzył na nią. - Ładna bluzka.

- Dzięki.

- Ale wolę cię bez bluzki. O której dzieci idą do domu?

- Alex!

Roześmiał się. - Dobra. Idę tam obsłużyć grill, i bawić się w przyzwoitkę...

- Nie, jeszcze nie idź. - Stephanie odłożyła łyżkę i stanęła przed nim. Znalazła jakiś pyłek na jego czerwonym swetrze, wygładziła kołnierzyk kraciatej koszuli i odrzuciła z czoła niesforny lok, który i tak zaraz opadł z powrotem. - Zanim tam wejdiesz, musisz wysłuchać instrukcji. Nie stać w drzwiach i nie gapić się jak tańczą; nie sterczeć nad nimi; jeżeli zobaczysz dwadzieścia czworo dzieci rozwalających dom, staraj się udawać, że nic cię to nie obchodzi. Jakim samochodem przyjechałeś?

- MG.

Mocniej zabiło jej serce.

- Musisz koniecznie pokazać go chłopakom. Zachować zimną krew i tak dalej.

- Aha. A czy mój strój pasuje? - zapytał zmęczonym głosem.

- Hm?

- Może należało się jakoś specjalnie ubrać, a ja nic o tym nie wiem?

- Mhm?

- Boston, jeżeli w tej chwili nie przestaniesz mnie dotykać, przez najbliższą godzinę nie będę mógł się ludziom pokazać.

- To nie moja wina, że masz za obcisłe dzinsy - powiedziała poważnie. Opuściła ręce, ale on chwycił je i zarzucił sobie na szyję. Uśmiech Alexa zawisł tuż nad jej wargami, a oczy obiecywały natychmiastową nagrodę za jej odwagę. Naprawdę, nie była wcale taka frywolna. To Alex sprawił, że zachowywała się w ten sposób. Kiedy był w pobliżu, chciała go stale kusić. Chciała być odważna, frywolna i uwodzicielska. Chciała, żeby śmiał się razem z nią, pragnęła tych cichych, intymnych uśmiechów i prawa do tego, żeby wygładzać mu grzywkę.

Kochała go i gotowa była stanąć na głowie, żeby usłyszeć od niego choć jedno słowo, że i on czuł to samo. Najwyraźniej jednak Alexa znacznie bardziej interesowało to, jak ona się rumieni. Przesunął dłońmi wzdłuż jej pleców i przyciągnął jej biodra mocno do siebie. Kiedy nawet nie usiłowała protestować, mruknął: - Od paru tygodni staje się pani coraz śmielsza, co? Można by nawet przypuszczać, że miałyby ochotę kochać się na kuchennym stole!

- A co będzie - zamruczała w odpowiedzi - jeżeli pani nie odmówi? - Znała już ten wyraz jego twarzy. Cień napięcia, uśmiech, który nie był uśmiechem, ból skryty głęboko w błyszczących oczach. Jego usta ciągle były tak blisko, że czuła smak oczekiwania, ale instynkt mówił jej, że Alex już myśli o czymś innym.

- Potrzebuję czegoś więcej, maleńka - jego głos był już głośniejszy od szeptu. - Chcę, żebyś powiedziała mi „tak”. Żebyś zaryzykowała i zaufała mi. Zrób to, Boston. Zrób to!

Już otwierała usta, żeby mu odpowiedzieć, ale nagle usłyszeli uderzenie dłonią o wahadłowe drzwi. Zanim Jeff zdążył je otworzyć, Alex oderwał się od niej.

- Tata! Kiedy przyjechałeś?

- Przed chwilą, stary. Jak tam prywatka?

- Fajnie. Fantastycznie. Wejdz i poznaj Julie i innych. - Alex ruszył za synem, ale na sekundę zatrzymał się w drzwiach i obejrzał na Stephanie. Miała zarumienione, jakby wysmagane wiatrem policzki, a oczy dzikie i ogromne. Wyczytał w nich miłość; wyczytał pragnienie. Czy może tylko tak bardzo chciał je zobaczyć? Zawahała się, ale potem zaraz prędko wzięła do ręki łyżkę i błyskawicznie zaczęła mieszać sos jogurtowy.

Był zrozpaczony. Widziała w nim uwodziciela nieletnich. Wiedział to i nie miał nic na swoją obronę. Aby ją zdobyć, musiał jej pokazać, jakim był człowiekiem. Od tygodni nie robił nic innego, tylko pokazywał jej tego mężczyznę, którym się stał.

Był z nią szczery, niczego nie grał, nie wywierał nacisku. Od tygodni stawiał na uczucia - jej i własne. I od tygodni nie mógł doczekać się żadnego sygnału, że w końcu mu zaufała.

Dziesięć po jedenastej wykończony Alex „na ostatnich nogach” przedarł się do salonu, który wyglądał jak pobojuwisko, i dotarł do Stephanie.

- Wydawało mi się, że mieli sobie pójść o jedenastej

- wyszeptał jej do ucha.

- Pójdą, pójdą - mruknęła i wręczyła mu tacę pełną pogniecionych serwetek i papierowych talerzy.

- To na pewno jakaś zmowa. W promieniu stu mil nie ma ani jednego rodzica - Alex uniósł głowę i uśmiechnął się słodko do przechodzącego nastolatka.

- Mówię ci - wyszeptał ponuro - wszyscy zwiali. Zostawili nam swoje dzieci na zawsze.

Stephanie prychnęła śmiechem. - Nie panikuj i idź poszukaj Jeffa. Gdzieś się zapodział, a powinien tu być, kiedy rodzice zaczną się zjawiać, żeby pożegnać swoich gości.

Śledziła go zakochanym spojrzeniem. Jego humor dodawał jej nowych sił. Wiedziała doskonale, że ani przez sekundę jego narzekania nie były poważne.

Uwielbiał te dzieciaki! Miał zmarznięte policzki od stania na zimie i pokazywania wszystkim chłopakom po kolei zakamarków silnika MG'53 Mark IV TD; wykonał szybką jazdę do sklepu (w jaki sposób zaledwie dwadzieścia cztery młode osoby dały radę pochłonąć osiemdziesiąt puszek gazowanych napojów w ciągu czterech godzin - nigdy nie będzie w stanie pojąć); wycierał plamy i dosypywał chrupki do szklanych misek; odlepił nieśmiały od ścian i zaganiał do zabawy...

Kilka razy miała ochotę po prostu podejść i powiedzieć mu, że go kocha. Tamten pocałunek w kuchni zostawił coś dziwnego w powietrzu - dziwne uczucie skrępowania, które gdzieś głęboko miała pod skórą przez cały wieczór, ale nie miała ani chwili czasu, żeby się nad tym zastanowić. Teraz, kiedy patrzyła na swój salon z mieszaniną rozbawienia i przestachu, zastanawiała się, jak długo będzie musiała to wszystko doprowadzać do porządku,

Całe wnętrze wypełniały ręce i nogi. Dzieciaki w tym wieku składają się wyłącznie z kończyn i przewodów pokarmowych. Muzyka dalej ryczała i nic nie wskazywało na to, żeby poziom hałasu miał się wkrótce zmniejszyć. Miski były puste, a czego nie zjedzono, wdeptano w dywan. Kilka abażurów lekko się zwichrowało. Poza tym dzieciaki zachowywały się jak aniołki. Nikt nie nadużył przywilejów gościa. Naturalnie, że salon i jadalnia, barek, kuchnia i obie łazienki wyglądały okropnie, ale czegoś podobnego należało się spodziewać.

Alex utknął w poszukiwaniu Jeffa, zatrzymany przez dwóch piegowatych fanatyków motoryzacji. Stephanie znów wyciągnęła szyję przeszukując wzrokiem pokój. Okazało się, że brakuje nie tylko Jeffa.

Dwie chichoczące panienki wyszły z kuchni; jedną Stephanie znalazła w łazience na dole; a w barku zastała parę ślęczącą nad szachownicą. Jeffa dalej nie było.

Lekko zmarszczywszy czoło, Stephanie weszła na piętro. Drzwi do łazienki były otwarte, ale nie było w niej nikogo. Wetknęła głowę do pokoju Jeffa i... zamarła w pół kroku.

Jeff i Julie stali przy oknie i całowali się. Oboje mieli zamknięte oczy, dłonie Jeffa obejmowały piersi dziewczyny i żadne z nich nie usłyszałyby strzałów z armaty, nie mówiąc o jej cichych krokach.

Odwróciła się na pięcie. Poczowała dziwne zawroty głowy i całkowite oszołomienie. Jak przez mgłę widziała hall i Alexa wchodzącego po schodach. Znalazłaś go?

- Alex, idź na górę, proszę - powiedziała z naciskiem. - Zaraz!

Stephanie zaczęła zbierać papierowe talerzyki. Rodzice przyjechali i odjechali... Jeff i Julie zeszli z góry obejmując się... Nagle pojawili się rodzice Julie... Właściwie to wszyscy goście zabrali się w niecałe dziesięć minut i w końcu nareszcie można było wyłączyć stereo.

Alex przyłączył się do niej w kuchni. Zaraz też wszedł Jeff ze szczęśliwym uśmiechem sennego misia na twarzy.

- Nic się nie martw, mamuś - zapewnił ochoczo. - Ja wszystko posprzątam. Może nawet do końca życia będę robił wszystko, co każesz. To najfajniejsza impreza...

- Dobrze - skwitowała Stephanie i poczuła na sobie badawczy wzrok Alexa. Pragnąc złagodzić ton dodała szybko. - Nie martw się o sprzątanie, Jeff. Wiem, że jesteś zmęczony. Idź spać. My z ojcem...

- Uważam, że mógłby pomóc w sprzątanii - wtrącił stanowczo Alex.

Wyszli. Słyszała ryk odkurzacza i śmiechy. Po godzinie Jeff przyszedł pocałować ją na dobranoc. Zostawił Stephanie przy zmywaniu, a Alexa ze ścierką do naczyń w ręku mężnie trwającego u jej boku.

Przez dłuższy czas panowało milczenie, ale kiedy zabrała się do wycierania zlewu, co doskonale mogło poczekać do jutra, Alex wyrwał ścierkę z jej rąk i rzucił na blat.

- Wykrztuś to wreszcie, Boston - powiedział cicho. Uniosła głowę. - Widziałeś, gdzie on trzymał ręce?

- Na jej swetrze.

- Ale w którym miejscu?

- Kochanie, ona jest płaska jak deska - zauważył rzeczowo starając się ukryć uśmiech.

- Nie obchodzi mnie to, jak ona jest zbudowana. Mają po czternaście lat!

- Nie pamiętasz szczeniackiej miłości? Odwróciła się znowu sięgając po ściereczkę. - Szczeniacka miłość może być niebezpieczna.

- Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz - powiedział łagodnie, uspokajająco... aż za bardzo łagodnie i uspokajająco.

- Alex, dziewczyna może zająć w ciążę - syknęła - jeżeli nie traktuje tych rzeczy poważnie. Nie staraj się mnie przekonać, że to wszystko jest takie normalne, takie „naturalne"! Wiem wszystko o uleganiu tym naturalnym popędom. Dokładnie to samo) my zrobiliśmy! Ty zrobiłeś!!

Zapanowała cisza jak w grobowcu. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nawet nie drgnęło. Potem Alex znowu wyrwał jej ścierekę i cisnął nią. Odbiła się od lodówki i spadła na blat. Stephanie nagle nie mogła spojrzeć mu w oczy. Ale czuła jego świdrujące spojrzenie i narastający gniew.

- Boisz się, że Jeff popełni nasz błąd?

- Tak!

Zrobiła ruch, jakby chciała go wyminąć, ale chwycił ją za ramiona i przytrzymał kilka cali od siebie. Był bardzo wzburzony. Bojąc się podnieść wzrok, wpatrywała się w jego szyję i pulsujące jabłko Adama.

- Mam dziwne uczucie, że wcale nie chodzi ci o Jeffa, tylko o nas, co Boston? - zapytał ostro.

- Alex - zwilżyła językiem nagle spierzchnięte wargi. W oczach miała smutek i rozpacz. - Nie kochałeś mnie wtedy, Alex. Nie naprawdę. Byliśmy parą pełnych temperamentu dzieciaków, ale pożądanie to nie miłość

- łzy popłynęły jej po policzkach. Piekące, gorzkie łzy rozpacz. - I dalej to nie jest miłość. Zanim wykaraskałam się ze skutków jednej szalonej godziny na siedzeniu MG, minęły lata. Nie mogę tego zrobić jeszcze raz. Wystarczy, że raz

zobaczyłam naszego syna i to niewinne dziecko; uświadomiłam sobie, że nie mogę tego zrobić po raz drugi. Rozumiem... - zaczerpnęła tchu, aby przeczekać szloch - rozumiem, że mnie nie kochasz, ale nie mogę żyć w jeszcze jednym związku opartym po prostu na pożądaniu.

Nagle ręce Alexa opadły z jej ramion. Szybko otarła łzy spływające po policzkach, starając się opanować. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Alex ma śmiertelnie bladą twarz, jakby całe życie z niego wyciekło. Zaciśnięte szczęki były twarde jak granitowa skała, a oczy przypomniały jej kawałki czarnego lodu.

- Naprawdę uważasz, że to wszystko, co dla ciebie czuję?! - zapytał ochryple.

- Skłám - szepnęło jej serce, ale nie potrafiła tego powiedzieć.

- Czy kiedyś mogłeś zarzucić mi nieuczciwość, Alex? Cóż, jestem uczciwa. Gdybyś czuł coś więcej, powiedziałbyś mi. Nic nie mówiłeś o przyszłości, o tym, że chcesz...

- Być z tobą zawsze? - Alex odwrócił się i przez chwilę stał bez ruchu. Potem szybkim, niecierpliwym ruchem zerwał swoją skórzaną kurtkę z oparcia krzesła. Zawahał się jednak na ułamek sekundy, zanim wetknął ręce w rękawy.

- Nigdy nie powiedziałem głośno, że cię kocham, bo może... boję się, że mi nie uwierzysz. I przecież nie uwierzyłybyś, gdybym powiedział to teraz, prawda? Choćbym stawał na głowie i nie wiadomo, co mówił, to też byś nie uwierzyła...

- jego głos stał się teraz niebezpiecznie łagodny - ...odpłacam ci twoją uczciwością. Masz rację, małeńka. Nie ma między nami miłości. Twoja koncepcja miłości zawsze wydawała się bardzo odległa od mojej. Tym razem poszło łatwiej, co? Znowu jesteś wolna. Wierz mi, nie chcę twojej miłości - nie chcę tego, co ty nazywasz miłością.

- Alex!

Był już za drzwiami, zanim zdążyła go zatrzymać. Trzask zamka zmroził ją i owionął bolesnym chłodem. Jego słowa ciągle brzmiały jej w uszach - nie ma

między nami miłości, ale jej serce słyszało: nie kocham cię. To, co zawsze spodziewała się usłyszeć. To, co wiedziała od zawsze.

Nagle poczuła się jak rozbita skorupa. Wszystko ją bolało - oczy, gardło i serce. Usłyszała szum silnika MG, a potem już nic nie mąciło zimnej ciszy, tylko tykanie zegara i łomot jej własnego serca. Straciła go!

Śnieg spadł i stopniał, i znowu spadł. Na kilka tygodni przed Świętem Dziękczynienia George zaangażował ją do prowadzenia aukcji gdzieś w okolicach Rutland, potem drugiej koło Brenton Woods w regionie White Mountains. Zwykle najlepiej sprzedawało się posiadłości na wiosnę i jesienią, ale Stephanie była teraz wprost niezrównana! Była w tak świetnej formie, że mogłaby sprzedać dosłownie wszystko. Ciągle jeszcze pozostawała pod urokiem zakazanego: pragnęła rzeczy, których nie powinno się pożądać, chciała posiadać to, czego nie mogła mieć nigdy. Jej nastrój w przedziwny sposób udzielał się klientom. Odnosiła ogromne sukcesy zawodowe. Ale pewnego dnia tuż przed świętem George popatrzył jej nagle w twarz i kazał wziąć tydzień urlopu.

Dogadzało jej to. Trzeba było sprzątnąć strych. Gospościa jak zwykle sprzątała po wierzchu, a szafki wymagały gruntownych porządków. Pies jak zwykle potrzebował spacerów, robiła więc długie spacery. Jeff także nie szczędził jej zajęć. I nadchodziło święto. W tym roku miała urządzać je u ojca - trzeba więc było zrobić wszystkie zakupy.

Była bardzo, bardzo zajęta. Czasami nawiedzały ją różne wspomnienia - Alex sypie na nią liście i kocha się z nią w piwnicy; Alex pochyla się nad jej łóżkiem w szpitalu jeszcze przed urodzeniem Jeffa; ich wspólny niestosowny śmiech w samym środku koncertu... Potrafiła jednak szybko ukrócić wszystkie podobne myśli.

Pierwszą warstwę bólu zasklepiła duma. Czasem pomagała złość. Sukinsyn! Całe to gadanie o wierze w jego siły... Przecież wierzyła w niego! To ona ryzykowała wszystkim. To ona otwierała przed nim serce! Ona odpuściła mu wszystkie winy! To ona powiedziała, że go kocha, a on odrzucił jej miłość jak

coś bezwartościowego. Dopóki mogła uruchomić dumę albo złość, radziła sobie świetnie. Tylko że w porównaniu z uczuciem, do którego tęskniła, i złość, i duma były zbyt słabe.

- Tym razem naprawdę nie zamierzał do niej wrócić. I dobrze. Nie powinna wcale tego pragnąć. Tylko tak trudno było jej przekonać samą siebie, że nie powinna pragnąć jego powrotu.

Mahoniowy stół uginał się od potraw. Młoda kaczka na złoto w sosie pomarańczowym z powidłami z borówek i słodkimi ziemniakami w miodzie. Klopsiki polane masłem, bukiet różnych sałatek, marchewka na szklisto. Srebra błyszczały na sztywno wykrochmalonym irlandzkim obrusie odbijając blask świateł.

- W tym roku przeszłaś samą siebie, kochanie - powiedział ciepło Will Randolph.

Stephanie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Wiecie, co tata dzisiaj robi? - Jeff naładował sobie na talerz tyle jedzenia, jakby nie dawała mu jeść od kilku miesięcy.

- Je indyka - Will stwierdził oczywisty fakt.

- No tak. Ale nie przed szóstą. Ma bilety na mecz. I... Mamo?

- Tak?

- Oni mają jeszcze jedną rodzinną uroczystość. Laurie wychodzi za mąż!

- Laurie...

- Znasz Laurie. To ta kuzynka taty. Ta, co ma takie dziwne włosy.

Stephanie nie przypominała sobie kuzynki Laurie. Może i kiedyś ją poznała. Drzewo genealogiczne rodziny Carsonów było tak rozgałęzione... Spotkała ich wszystkich razem zaraz po ślubie, potem z okazji Bożego Narodzenia, ale kiedy przedstawia się siedemdziesiąt pięć osób na raz, imiona jakoś się zacierają.

Rozmyślanie o kimkolwiek, kto nosił nazwisko Carson, nie było najszczęśliwszym pomysłem. Kątem oka obserwowała, jak Jeff pochłania kolację, odkłada sztucce i czeka. Zawisł wzrokiem na jej ustach z nadzieją

dziecka czekającego na przyjście wróżki. W jego geście przygarbionych ramion było coś z konia wyścigowego gotującego się do startu. Westchnęła.

- Tak.

- Naprawdę? Rany, mammo... - koń ruszył, potem zatrzymał się z wyrazem zakłopotania na twarzy.

- Pewnie powinienem zaczekać, aż wy z dziadkiem skończycie...

Will wtrącił się z uśmiechem. - Mama i ja prawie skończyliśmy. Biegnij sprawdzić, jaki wynik. Nie straciłeś więcej niż połowę.

- No, dobra. Skoro nie macie nic przeciw temu...

- pierwszy krok zrobił spokojnie, ale następne już przebiegł pędem.

Will uśmiechnął się znowu, potrząsając głową, ale kiedy spojrzał na córkę, uśmiech zniknął z jego twarzy. - Niezupełnie jesteś w świątecznym nastroju, kochanie.

- Oczywiście, że jestem - natychmiast uśmiechnęła się na dowód, że mówi prawdę, wyprostowała plecy i szybko wstała z krzesła. - Będą ciasta.

- Daj na razie spokój. W odróżnieniu od ciebie właśnie zjadłem ogromną kolację i muszę się przejść. Deser może poczekać, aż wrócimy.

- Śnieg pada, tato...

- Tak, wiem. Weź płaszcz.

Chwilę później byli już na dworze. Kilkucentymetrowa warstwa śniegu przykryła trawniki i ulice, niebo było szare, co wróżyło dalsze opady.

Od lat po kolacji w Święto Dziękczynienia chodzili z ojcem na spacer. Od lat - zawsze tą samą trasą

- Aleją Parkową do lasu okalającego Darthmouth's Tower, a potem przez alejki kampusu.

Dzwony wybiły czwartą. Z powodu ferii świątecznych szkoła była wymarła, ale niestety - zauważyła Stephanie - jak zawsze były jakieś pary. Spacerujące, szukające samotności we dwoje, pod pretekstem zimna obejmujące się czule, całujące się.

- Więc... - przemówił ojciec po pół mili nadążania za szybkim marszem Stephanie - przestał przyjeżdżać?

- Alex?

- Alex.

- Tak - starając się nie zdradzać swoich uczuć uniosła głowę i udawała, że zimne powietrze jest przyjemne. - Miałaś rację, tato - powiedziała lekko

- chyba musiałam spróbować jeszcze raz, żeby się upewnić, ale miałaś rację - to nie jest człowiek dla mnie.

- Cieszę się, że to rozumiałaś.

- Zrozumiałam - przytaknęła z goryczą.

- Po pierwsze, jeżeli raz było go stać na to, żeby wykorzystać...

Stała jak wryta. Poprawiła szalik odrzucając go gwałtownie do tyłu.

- Tato, on mnie nie wykorzystał. Ani wtedy, ani teraz. Wybierz to sobie z głowy! Jestem w stanie zgodzić się z każdą uszczypliwością, którą masz do powiedzenia na temat Alexa, ale to jest po prostu nieprawda!

- Mhm... - Will poprawił swój szalik (znacznie spokojniej). - Nigdy nie mogłem zrozumieć jego stosunku do Jeffa - zaczął Will niedbale.

- Był i jest doskonałym ojcem - powiedziała ostro.

- Ma twardą rękę tam, gdzie ja jestem zbyt łagodna; rozmawia z nim. Wydaje się, że Alex zawsze wcześniej ode mnie wie, co Jeff czuje - Stephanie potrząsnęła głową. - Możesz wierzyć albo nie, ale w wielu sprawach macie nawet podobne poglądy.

- Szczerze wątpię.

- A jednak to prawda. Kiedyś okropnie się pokłóciliśmy. Ten wariat ubzdurał sobie, że Jeff pójdzie do Dartmouth! Bez względu na to, co Jeff chciałby robić.

- Naprawdę, tak powiedział?

- Mówi, że chce, żeby Jeff miał „lepsze życie"! Tak, jakby sam musiał się wstydzić, że jest mechanikiem... Na Boga! A tyle w życiu osiągnął!

- No cóż, zawsze był czuły na punkcie swojego pochodzenia - powiedział Will gładko.

- Nie widzę żadnego powodu, żeby miał być wrażliwy. Tak naprawdę, to jest fałszywym snobem! - zawyrokowała.

- Hmm... Oczywiście, kiedyś miał powody, nie mogąc zapewnić ci utrzymania...

- Teraz stać go na cztery żony - powiedziała bezbarwnie. - Nie w tym problem. Nie potrzebuję, żeby mnie ktoś utrzymywał.

- A on pewnie chciał, żebyś go potrzebowała, i wiedział, że nic z tego. Nie potrzebujesz nikogo, kochanie. Wierz mi, ja to rozumiem. Jakoś się trzymałem, kiedy umarła twoja matka, i... nawet nieźle mi się to udało - powiedział Will zmienionym głosem.

Stephanie popatrzyła na ojca. Już w jej najwcześniejszych wspomnieniach - ojciec zawsze był sam. I całymi nocami czytał zamknięty w swoim gabinecie. Pamięta też tę straszną samotność, którą wyczuwała nawet będąc dzieckiem.

Ojciec nie patrzył na nią, tylko przed siebie, na stary budynek Baker Memoriał.

- Wszyscy kogoś potrzebujemy - powiedział cicho.

- Ale ty go nie potrzebujesz - zapewnił. - Zawsze tylko cię krzywdził.

- Tak (głupie łzy zakręciły jej się w oczach). - Wiesz, nawet powiedziałam mu, że wszystko to była moja wina. Nawet ta ruda. I tak było, tato. Nie byłam wystarczająco dojrzała do małżeństwa, do tego typu zobowiązania - westchnęła ciężko. - Nie ma co, nigdy więcej!

- To dobrze.

- Naprawdę, nigdy. Usunęłam go zupełnie z mojego życia.

- To dobrze - powtórzył Will jak echo. Nie był ci potrzebny. Do niczego

Nowe łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugnęła gwałtownie, żeby je skryć. Tak, ojciec miał słuszość. Nie potrzebowała Alexa. Ani ze względów finansowych, ani dla poczucia bezpieczeństwa, ani po to, by określił jej system wartości. Świetnie mogła poradzić sobie sama. Tylko że ojciec tak bardzo się mylił!

Potrzebowała Alexa, żeby ją rozśmieszał, żeby miała się z kim spierać, żeby czuła, żeby kochała!

- A poza tym on jest... jak albatros. Za bardzo cię potrzebuje - powiedział Will jakby do siebie.

- Alex!?! - spojrzała na ojca niepomiernie zdziwiona.

- O czym ty mówisz? On mnie nigdy nie potrzebował.

- Czyżby? - Will strzepnął płatek śniegu z ramienia.

- Może i nie. Na ogół mężczyzna, który miał tak ciężkie życie, potrzebuje kobiety, kogoś, o kim wie, że będzie przy nim w trudnych chwilach. Ale... w końcu, kogo to obchodzi? Znajdzie sobie kogoś. Nie zawracaj sobie głowy.

A jednak zastanowiła się... nad wrażliwością Alexa w sprawie jego rodziny, nad jego dumą, nad tym, jak zmusił ją do tego, aby dojrzała i zaczęła wyrażać uczucia... I nad tym, jak mało dała mu w zamian za to wszystko. Alex był otwarty, silny i zuchwały. Nigdy nie pomyślała o nim, jako o kimś, kto może mieć jakieś słabości. Jakże mógłby być słaby? Wszystko mu się udawało. Nie potrzebował nikogo, żeby to potwierdzić!

- Ośmielił się nawet zadzwonić do mnie dwa razy w ciągu tych dwóch tygodni - powiedział Will Randolph z niesmakiem. - Oświadczyłem mu, że powinien zostawić cię w spokoju.

- Alex dzwonił do ciebie?

- Owszem. Poradziłem mu, żeby dał ci święty spokój. Tego przecież chciałaś, nieprawdaż?

Nagle znaleźli się tuż przed drzwiami domu ojca. Will pierwszy wszedł na schody. Otrząsał śnieg z butów. Zanim Stephanie weszła na werandę, stanął przed nią, zasłaniając drzwi. Tak bardzo chciał, żeby weszła z nim do domu, do jego ciepłego, spokojnego wnętrza, gdzie może przez jakiś czas udałoby mu się zająć jej myśli kieliszkiem wina, grą w szachy... Ale teraz miał szansę naprawić błędy, które popełnił kiedyś jako ojciec siedemnastoletniej dziewczyny.

- Kochanie - powiedział łagodnie - chciałbym, żebyś teraz pojechała do domu i przywiozła tu psa. Zabierz też rzeczy dla Jeffa, żeby mógł przenocować...
- Słucham?
- Możesz być w Bostonie około wpół do ósmej.
- O ile tam pojedę.
- Powinnaś pojechać - zapewnił ją ojciec. - Nie mogę pojąć, co tu jeszcze robisz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy tylko zjechała z autostrady, zgubiła się natychmiast. Jeszcze z czasów, gdy ojciec pracował na uniwersytecie, pamiętała, jak łatwo zgubić się w Bostonie, a zwłaszcza w tej dzielnicy, gdzie dorastał Alex. Od wieków tu nie bywała, ale niewiele się zmieniło. Bliźniaczo podobne do siebie jednopiętrowe domki ciągnęły się kilometrami. Wszystkie były jednakowo stare, poszarzałe od deszczu i stłoczone na wąskich uliczkach pełnych teraz zimnej, wilgotnej mgły. Znalazła ulicę, ale nie mogła odróżnić domu rodziców Alexa. Nagle dostrzegła czerwone MG wciśnięte między inne samochody zaparkowane ciasno wzdłuż ulicy. Zanim znalazła miejsce dla swojego samochodu, musiała przejechać jeszcze dwie przecznice.

Zaparkowała, wyjęła szminkę i zajrzała do lusterka.

- Zwariowałaś - powiedziało jej odbicie. - Przede wszystkim on wcale nie chce cię widzieć. Powiedział przecież wyraźnie, że cię nie kocha. Po drugie - żadna

kobieta przy zdrowych zmysłach nie odważyłaby się zakłócić spotkania rodzinnego Carsonów.

Tak. Zwariowała. Nałożyła szminkę i róż, poprawiła szpilki we włosach, psiknęła dezodorantem i wysiadła z samochodu. Jej cienkie, zamszowe botki natychmiast namokły w topniejącym śniegu, a wiatr gwałtownie szarpnął jej czerwonym płaszczem. Zanim dotarła do domu Carsonów, była przemarznięta na wylot, a żołądek przypominał twardy węzeł.

Carsonowie... Nie była przygotowana na to spotkanie. Tak naprawdę, to nigdy nie była przygotowana na rodzinę Carsonów. Wyrosła w domu, gdzie należało się przebrać do kolacji i gdzie nikt nigdy nie podnosił głosu. Carsonowie byli hałaśliwi, żarłoczni i w oczywisty sposób mocno związani ze sobą uczuciowo. Kłócili się, wrzeszcząc na cały głos, i równie głośno się śmiali. Stephanie zawsze czuła się przytłoczona ich towarzystwem.

Matka Alexa zapalała do niej niechęcią od pierwszego wejrzenia. „Ważniaczka” - podsłuchiwała kiedyś Stephanie i poczuła się głęboko urażona. Pojedyncze słowo może bardzo zranić.

Gdyby tylko umiała ich kochać! Kochała ich sposób rozmawiania, przekomarzania się ze sobą, nawet kłótnie. Traktowali wzajemną miłość w rodzinie jak coś oczywistego, ale Stephanie nigdy nie umiała się do nich przyłączyć. Byli tak bardzo odmienni.

Ojciec pracował w jakiejś fabryce, matka - jedyna małomówna osoba o nazwisku Carson - zajmowała się domem, siostra była urzędniczką w magazynie, a brat - majstrem jakiejś linii produkcyjnej. Żadne z nich nie miało takich ambicji jak Alex, ale za to byli ludźmi zupełnie szczęśliwymi.

Od pierwszej chwili, gdy jako „Bramin z Bostonu” pojawiła się w ich domu, czuła przez skórę, co o niej myśleli: to ona była winna, że przestało mu wystarczać to, co już posiadał; to ona, jej długie nogi i szampańskie włosy wpędziły go w kłopoty; i - oczywiście - to ona go porzuciła.

Jakże teraz miała tam wejść i stanąć z nimi oko

w oko?! Ale nie miała wyboru. Rodzina była częścią Alexa, a Alex był częścią jej samej. Musiała wziąć się w garść, zmobilizować siły.

Uniosła dumnie głowę i zastukała.' Bez skutku. Piekielny hałas dobiegał z wnętrza domu. Nikt jej nie usłyszał. Nacisnęła klamkę. Przywołała na usta okolicznościowy uśmiech i zajrzała do środka.

Długi, słabo oświetlony korytarz kończył się salonem. Zobaczyła fragment starego stołu nakrytego białym obrusem. Kilka kobiet przebiegło tam i z powrotem wynosząc naczynia do kuchni i gadając bez przerwy. Ich głosy mieszały się z tupotem dzieciaków, biegających rozhukanym tabunem po schodach, i z głosami mężczyzn dobiegającymi z pokoju w głębi - musiało ich tam siedzieć około setki.

Poczuła, jak wilgotnieją jej dłonie. Wszyscy tu mieli ciemne włosy i oczy oraz jasną karnację. I nie pamiętała ich imion! Była jakaś Peg, Martha, jakiś Jimmy, Bette i Phil, wuj o imieniu Whitt, Bob i Robbie, ale... poza rodzicami Alexa nie była w stanie dopasować żadnego imienia do twarzy.

A potem zobaczyła matkę. Była sama. Pochylała się nad stołem, sięgając po ostatnie szklanki. Miała na sobie wzorzystą suknię, którą musiała nosić latami. Wyglądała na zmęczoną, ale niewiele się zmieniła. Ubrania nie były dla niej ważne, stare wartości - wręcz odwrotnie. Jej skupiony profil uspokajał najbardziej rozbrykane bachory. Jedno ciche słowo z jej ust stawiało na baczność wszystkich mężczyzn. Pokłady jej miłości były niespożyte, ale Stephanie nigdy jej nie doznała.

- Mary Agnes? - powiedziała półgłosem. Starsza kobieta uniosła głowę i bez śladu zdziwienia popatrzyła na Stephanie. Mary Agnes nigdy niczemu się nie dziwiła, ale nagle w całym domu tak pełnym wrzawy zrobiło się zupełnie cicho. Stephanie wyczytała w oczach matki lojalność wobec syna i wściekłość na kogoś, kto ośmielił się skrzywdzić jedno z jej piskląt - i to dwa razy. Wytrzymała to spojrzenie bez drgnienia powiek. Mary Agnes zmierzyła ją od stóp do głów - zamszowe buciki, czerwony płaszcz, makijaż.

- Mam zamiar zobaczyć się z Alexem - powiedziała Stephanie cicho. Gotowa na ostry sprzeciw, zdziwiła się, kiedy matka tylko skinęła głową i cmoknęła z dezaprobatą. - Chuda jak patyk. Za mało dba o siebie. Dawno ci to mówiłam. I stoi tak, w mokrych butach - znowu cmoknęła. - Zdejmij płaszcz i siadaj. Nie stój tak, jakbym cię miała ugryźć. Siadaj. Poślę Laurie, żeby ci przyprowadziła Alexa.

Na dźwięk swojego imienia z kuchni wyjrzała kędzierzawa blondynka.

- Stephanie? - jej czarne oczy wyrażały bezmierne zdumienie, ale uśmiech miała szczerze przyjazny. Weszła do pokoju wyciągając rękę. - Nie pamiętasz mnie? Spotkałyśmy się chyba tylko raz, tuż przed waszą ucieczką, ale ja ciebie pamiętam.

- Nie ma czasu na gadanie. Potrzebna jej szklaneczka czegoś mocniejszego - przerwała Mary Agnes.

- Zmarzła na kość.

- Nie, nie - zaprzeczyła szybko Stephanie.

- Już się robi. Zaraz przyniosę.

- Ale ja naprawdę... - energicznie nalana szklanka białego wina znalazła się w jej ręku, zanim Stephanie zdążyła dokończyć myśl.

- Jak skończy, przyprowadzisz jej Alexa – wydała dyspozycje Mary Agnes i spokojnie poszła do kuchni z tacą pełną szklanek.

Stephanie zrobiła głośny wdech, uświadamiając sobie ze zdziwieniem, że właśnie ją powitano.

- Stephanie?

Odwróciła się do kobiety, która musiała być jej rówieśnicą. Były prawie równego wzrostu, a burza jasnych włosów stanowiła tak niezwykłą rzadkość w tej rodzinie, że Stephanie z pewnością musiałaby ją zapamiętać.

- Laurie - powtórzyła tamta chichocząc. - Chyba rzeczywiście mnie nie pamiętasz, co? Usiądź na chwilę. Zabrać twój płaszcz?

- Nie, dziękuję. Ja... - Stephanie zaczerpnęła tchu -ja chcę tylko... Alexa.

- I Bogu dzięki! - odetchnęła z ulgą blondynka i przysiadła na skraju zrudziałej kanapy.

- Proszę?

Laurie prychnęła śmiechem.

- Ktoś musi mu pomóc. Bóg mi świadkiem, że cała rodzina robi, co może, od paru tygodni. Mówię ci... Nieważne. Siądź na minutkę -. nagle strzeliła palcami.

- Wiem, dlaczego mnie nie pamiętasz! - wskazała na swoją głowę. - Włosy! Wtedy nie byłam blondynką. Jak tylko mam jakiś kłopot, zaraz przefarbowuję włosy. Przez to jestem zakałą rodziny. Miałam już popielate, czarne, w pasemka i dłuższy czas rude - kiedy jeszcze byłam w szkole.

- Rude - powtórzyła Stephanie jak echo.

- Teraz sobie przypominasz, prawda? Myślałam, że mnie rodzina zabije! Uciekłam do Alexa. On jeden mnie zawsze rozumiał, ale nie... nie możesz tego pamiętać. Nie było cię w domu, kiedy przyjechałam, żeby z wami zamieszkać. Alex i tak mnie odesłał... ale pamiętam to wasze mieszkanko, które tak pięknie urządziłaś - kobieta wyciągnęła szyję, jej oczy były pełne współczucia. - Co ci jest? Zrobiłaś się biała jak ściana. Napij się wina - powiedziała łagodnie - i nie gniewaj się, że tyle gadam. To u nas rodzinne. Nie licząc cioci Mary, oczywiście.

- Tak, tak, oczywiście - powiedziała Stephanie. Przestań na sekundę paplać - pomyślała - muszę się zastanowić.

Blondynka uśmiechnęła się znowu.

- Nie krępuj się. Musiało ci nie być łatwo tu przyjść. Wszyscy wiemy, co się stało za pierwszym razem, ale przez ostatnie parę tygodni nie puścił pary z ust. Tylko po tym, jak wyglądał i co robił, domyśliliśmy się, że chodzi o ciebie. Nie bój się, nikt ci tu złego słowa nie powie. Naprawdę... - zawahała się. - Za dużo gadam. Czekaaj, zaraz ci go przyprowadzę.

- Nie - Stephanie odstawiła nietknięty kieliszek i na sekundę zamknęła oczy. Portrety rudowłosych kobiet, które wyobrażała sobie latami, przelatywały przez

jej głowę jak błyskawice. Stworzyła wszystkie ich odcienie i odmiany: jedwabiste, proste i długie, aż do pasa, i krótko ostrzyżone, miedzianozłote, afro i kasztanowe pazie... wszystkie możliwe barwy i fryzury, tylko nie burzę niesfornych kędziorów opadających na oczy kuzynki Laurie!

- Nie - powtórzyła mocniejszym głosem - sama go znajdę.

- Na pewno? - spytała Laurie niedowierzająco.

- Wierz mi. Na pewno.

Pokój, z którego dobiegał gwar męskich głosów, nie był w końcu tak daleko. Położony w głębi, stanowił tradycyjny w tym domu przybytek mężczyzn. Zatrzymała się w progu prawie nieświadoma gęstego dymu cygar, blasku telewizora i leniwych uwag, gęsto przetykanych dosadnymi zwrotami, na które nigdzie indziej w domu Mary Agnes nikt by sobie nie pozwolił.

Dwie pary oczu popatrzyły na nią, a zaraz potem już wszystkie były skierowane ku niej. Rozmowy stopniowo ucichły, a potem nagle z odległego kąta wystrzeliło ku niej jego spojrzenie i dopadło jej spragnione.

Miał na sobie czerwoną koszulę i ciemne spodnie. Wyglądał niesamowicie! Gorzkie linie wokół ust, zmęczone, błyszczące niezdrowym blaskiem oczy. Najwyraźniej nikt od dawna nie kazał mu się ogolić. Był zaniedbany i opuszczony. Stephanie poczuła, jak ogarniające ją stopniowo gorąco jeszcze wzrosło. Nigdy lepiej niż teraz nie rozumiała, jak bardzo Alex potrzebował jej miłości i nigdy dotąd nie była na niego tak wściekła!

Nie od razu się poruszył. Nie mógł. Nie był do końca pewien, czy rzeczywiście ją widzi, czy to jego umęczona wyobraźnia płata mu kolejnego figła. W ciągu ostatnich tygodni zbyt często przywoływał jej obraz w pamięci.

Kiedy tak siedział bez ruchu, Stephanie ogarnęła rozpacz. W głowie miała wielką czarną dziurę. Nagle rozzłościła się. To dodało jej odwagi. Zanim zdążył się poruszyć, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Udaje obojętność? No, to zaraz się przekona! Już ona zna sposób, żeby poruszyć Alexa! Minęła jedną sypialnię, drugą... wszystkie płaszcze składano zwykle na łóżku rodziców. Bez

trudu odnalazła jego skórzaną kurtkę, wyciągnęła z kieszeni kluczyki i pobiegła do drzwi, a potem po topniejącym śniegu wzdłuż ulicy.

Wskoczyła na czarny, kryty skórą fotel MG. Kłopot polegał na tym, że samochód miał sprzęgło. Od lat jeździła wozami z automatyczną skrzynią biegów, ale z pewnością będzie potrafiła uruchomić silnik. Przekręciła kluczyk i na wstecznym biegu podjechała aż pod dom Carsonów. Dodała gazu - silnik zaryczał. Bardzo głośno.

Nie zdziwiła się ani trochę, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich Alex, dopinając kurtkę w biegu. Znów nacisnęła gaz. Silnik zawył. W okamgnieniu dopadł drzwi samochodu.

- Boston, co ty wyrabiasz, do cholery?! - Alex nagle ożył. Jego oczy ciskały gromy. Taki MG IV TD potrafi działać cuda! Na całym świecie jest ich jeszcze około setki. Superskuteczne maszynki!

- Tak naprawdę - powiedziała spokojnie - ten samochód należy do mnie. Straciłam w nim cnotę. Poczęłam moje dziecko. Możesz wsiąść, Alex. Jeżeli tego nie zrobisz, wrócę do domu i opowiem całej twojej rodzinie, że znowu jestem w ciąży przez ciebie.

Przez chwilę łapał powietrze jak ryba wyjęta z wody. Nie była jeszcze gotowa spojrzeć mu w oczy. Obojętność? Gniew? Złość? Odrzucenie? Nie chciała wiedzieć, co w nich jest. Starła się nawet wmówić sobie, że jej to nie interesuje, ale nagle Alex wsiadł i zatrzasnął za sobą drzwiczki.

- Nie jesteś... - powiedział spokojnie, ale w jego głosie wyczuła maleńki znak zapytania.

- Nie - odpaliła - ale nie myśl sobie, że nie nakłamię wszystkim twoim pociotkom w całym New Hampshire, jeżeli natychmiast nie zapniesz pasów!

- Boston, nie wiem od kiedy zaczęłaś pić, ale...

- Upewniam cię, że nic nie piłam.

- W takim razie - zwariowałaś!

- Żebyś wiedział! - nagle łzy napłynęły jej do oczu. Do licha! Włączyła bieg i puściła sprzęgło - za szybko. Silnik zgasł. - Jestem wściekła... - znów przekręciła kluczyk. Silnik zagrał przyjemnym niskim dźwiękiem. Za nimi jakiś samochód, potem następny zaczęły się wycofywać.

- Boston, nie płacz.

- Nie płaczę. Jestem wściekła. Na ciebie.

- Pozwól, że ja poprowadzę.

- Nie, ja sama! Ty będziesz... Będziesz siedział spokojnie.

Siedział. Nie odezwał się ani słowem, kiedy na światłach silnik znowu jej zgasł, ani nawet wtedy, gdy ze zgrzytem redukowałą biegi. Nie poruszył się, tylko wpatrywał się w nią przez całą drogę. Dwa razy już myślała, że przemówi, ale nie zrobił tego. Jadąc prosto przed siebie, dojechała aż do portu.

Morze było oszalałe - czarne bałwany o białych grzywach z furią atakowały doki. Pachniało solą, śniegiem i rybami. W listopadzie Boston zawsze tak pachnie. Gdzieś daleko błyskał samotny neon portowej knajpy. Wkoło nie było żywego ducha.

Zgasła silnik, opadła na oparcie fotela. - Jedziesz ze mną do domu - powiedziała, ale już bez tego żaru, którego tak potrzebowała, żeby go przekonać. Chciała powiedzieć to tonem nie znoszącym sprzeciwu, ale głos jej się załamał.

- Boston...

-Albo ja jadę do domu z tobą. Nieważne, do którego. Alex, ja mam już dosyć i nic nie działasz, nawet jak będziesz się ze mną kłócił.

Nie kłócił się, ale pochylił się ku niej. W ciągu kilku sekund ich oddechy zasnuły mgłą wszystkie szyby. W MG nigdy nie było dużo miejsca, ale teraz stał się małym kokonem, oddzielającym ich od reszty świata. W kokonie tym była kobieta, która starała się dalej być zła i mężczyzna o głębokich, czarnych oczach, który ściągnął jej rękawiczki i szalik i zmusił, aby spojrzała mu w oczy.

Nie był zły. Nie odtrącał jej. Zrozumiała to już w drodze, ale nigdy nie spodziewała się tego delikatnego wyrazu ust. Nie zapomniała jednak, ile bólu jej zadał.

- Do diabła z tobą, Alex. Słyszysz?

- Słyszę.

- Do diabła, mam kompletnie dosyć. Po pierwsze nigdy ci nie uwierzę, że mnie nie kochasz...

- Uwielbiam cię, Steph. Lubię cię, kocham, szanuję, potrzebuję, pragnę, uwielbiam. Boston... i...przepraszam. Tak bardzo... się pomyliłem - usłyszała ból w jego głosie, powolną, nękającą kadencję bólu, ale to jej oczy napełniły się łzami. Łagodnymi, cichymi łzami, przez które cały świat wkoło rozbłysnął milionem brylantowych iskier.

- O to właśnie chodzi - wyszeptała schrypniętym głosem. - O to, że się mylimy. Ja ciągle popełniam błędy, Alex. Chciałabym móc ci obiecać, że to się nigdy nie powtórzy, ale to nie jest możliwe. Będziesz musiał mi wybaczyć. Będziesz musiał wszystko zapomnieć.

- Nigdy cię nie obwiniałem - zapewnił gorąco. - To wszystko była moja wina, a nie twoja. Myślałem, że to ty nie możesz zapomnieć - wpatrywał się w nią uporczywie biednymi, podkrążonymi oczami. - Nie mogłem sprawić, żebyś mi znowu zaufała. Nie mogłem znaleźć sposobu, żeby znowu zbudować między nami zaufanie. I... nie mam dowodu na to, że nigdy nie spałem z tą rudą dziewczyną - dodał szorstko.

- Doprawdy?! - jej oczy nagle pociemniały. Twarz kuzynki Laurie przemknęła jej przez myśl. Nie było dowodu, tylko domysły. I nagle przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Stephanie zrozumiała, że nigdy nie potrzebowała dowodu. - Nie znam innego faceta, który bardziej zasługiwałby na codzienne baty, Alex. Ty z twoją głupią dumą! Mogłeś mi po prostu powiedzieć...

- Gdybyś mi tylko uwierzyła! Dlaczego miałem przypuszczać, że zechcesz uwierzyć mojemu słowu...

- Twoim dowodem było twoje słowo! - rzuciła ze złością. - Jak śmiesz wątpić?!

- Steph...

- Nie. Posłuchaj mnie... - bezradnie rozłożyła ręce.

- Miałam wtedy siedemnaście lat i byłam ciężarna, okropnie brzydka i świadoma, że nie sprawdzam się w niczym - jako kumpel, kobieta, jako. żona. Cicho!

- przerwała mu gwałtownie, gdy tylko próbował otworzyć usta. - Wiem, co wtedy czułam. Odeszłam od ciebie, bo czułam, że muszę. Nie z powodu jakiejś innej kobiety, ale z powodu tego, co działo się między nami.

- Ja...

- Bądźże cicho!

Był cicho. Powoli przestał patrzeć jak zganione zwierzę. To ona nagle nie mogła powstrzymać drżenia.

- Alex, tak okropnie cierpiałam na samą myśl, że nie byłeś mi wierny. Ale nie tak, jak myślisz. Nie winiłam cię za to, że zwróciłeś się ku komuś innemu. Nie po tym wszystkim, co kazałam ci znosić. Wtedy... pamiętasz... starałam ci się powiedzieć, że wiem, że mogłeś się pomylić, że jesteś tylko człowiekiem. Nie jesteśmy nieomylni. Starałam się być wyrozumiała i nie wydawać wyroku. Bo... tak bardzo potrzebuję, bo nic nie zdziałamy, jeżeli mi nie wybacysz, że tak bardzo się myliłam...

- Nie bądź niemądra. Kocham cię. - Powiedział nagle. - Kocham cię, Boston. Nigdy nie zrobisz nic takiego, czego nie mógłbym ci wybaczyć - zamilkł. Szukał jej oczu. Ostatni ślad napięcia w jego twarzy zniknął. Usta nabrały delikatnego wyrazu, chociaż nie był to uśmiech, ale intensywna wibracja - drżenie miłości, którego nikt inny poza nią nie mógłby usłyszeć, cicha, prawie niesłyszalna obietnica, zrozumiała tylko dla niej jedynej.

Sięgnął ręką i jedna po drugiej wyciągnął szpilki z jej włosów.

- Alex! - ostrzegła.

- Nie skończyłaś jeszcze mówić?

- Nie skończyłam.

- To mów.

- Nie będziemy już mieli takich problemów - stwierdziła stanowczo. - Jedno z nas musi się nauczyć otwarcie wyrażać swoje uczucia. Nie obiecuję, że to będzie łatwe, ale można się tego nauczyć od dobrego nauczyciela, od człowieka, któremu się ufa i w którego się wierzy z całego serca.

Uśmiech powoli rozjaśnił jego twarz.

- Tak. Ty się nauczyłaś, prawda? - wyszeptał. Wyjął ostatnią szpilkę, odkręcił okienko i wyrzucił ją w śnieg.

- I jeszcze jedno. Kupisz mi nowe spinki!

- Tak - zmarszczył się, zanim ją objął. Między nimi sterczała dźwignia biegów. Następną przeszkodą były kubelkowe fotele. Rozczesując palcami jej włosy zastanawiał się, jak rozwiązać ten problem.

- I jeszcze jedno - przypomniała sobie. - Ta historia z Jeffem i jego nauką, która nigdy nie miała nic wspólnego z tym, że Jeff chce zostać mechanikiem... Chodziło o ciebie. O twoją dumę z tego, co w życiu osiągnąłeś.

- Tak.

Przerzucił jej nogi przez dźwignię biegów, a potem przesadził ją na swoje kolana, dziwiąc się w duchu, ile też dwoje dorosłych ludzi może mieć kończyn. I jakie są strasznie wielkie. Sytuacja jednak była niezwykle sprzyjająca, żeby się objąć i przypieczętować obietnice pocałunkami. Cóż, Stephanie zawsze była drobna.

Jego usta zaczęły wędrówkę od poważnej zmarszczki między jej brwiami, przesunęły się wzdłuż jej nosa i zażądały ust.

Pragnął uczucia. Posiadania. Żądał jej delikatności, słodyczy, zrozumienia. Teraz mógł zwyciężać we wszystkim. Teraz miał dla kogo walczyć! Potrzebował jej-

Jej usta były słodkie i obdarzające, a pod dotknięciem jego warg stawały się gorące. Jego pocałunek przysięgał to, co zawsze chciał jej przyrzec: że zawsze

będzie ją bronił, osłaniał, uczył czuć i kochać. Chłopak nie mógł spełnić wszystkich tych obietnic. Mężczyzna czuł swoją moc i czerpał siłę z samej jej obecności. Miała tyle miłości do zaofiarowania.

Wyswobodziła się z jego uścisku, kiedy zabrakło jej tchu, a i wtedy odsunęła się tylko troszeczkę.

- Alex. Nie myśl sobie Bóg wie czego. Wiesz, że to prawie niemożliwe.

- Wiem, przesunij nogę w tę stronę, kochanie. Przesunęła.

- Nie skończyliśmy rozmawiać. Musimy jeszcze pogadać o twoich rodzicach i moim ojcu. A Jeff...

- Tak.

- Wcale nie słuchasz.

- Tak.

Zamknął zatrzaski obu drzwi i sięgnął po nią.

Jeff za wszelką cenę starał się niepostrzeżenie podrapać się w szyję, tam, gdzie uwierał go nieznośnie sztywny kołnierzyk. Kaplica ucichła. Za drzwiami zimowy wiatr wzbijał w górę biały puch. Białe Święta. Jeszcze raz zerknął na matkę i ojca, ale oni i tak świata poza sobą nie widzieli. Pochylił się więc do dziadka.

- Wiesz, gdyby nie ja, nie byłiby teraz razem.

- Tak sądzisz? - Will Randolph rzucił mu powątpiewające spojrzenie. Sobie i tylko sobie przypisywał zasługę, że tych dwoje stało teraz przed ołtarzem. Zmrużył oczy i przyjrzał się badawczo zięciowi. Nie wygląda tak źle w smokingu. Ma dobrą figurę, ale te włosy... nigdy nie uczesze ich porządnie!

Spojrzenie Willa powędrowało teraz do przeciwległego rzędu. Carsonowie... Ojciec wygląda jak Alex o kilkanaście lat starszy: Matka - Mary Agnes - ma jakąś dziwną minę. Ta kobieta zawsze irytowała Willa! Nie potrafił jej rozgryźć. Ale niech raczej ma się na baczności, jeśli spróbuje zepsuć ten dzień jego córce!

W chwilę później Stephanie spłynęła od ołtarza.

Okulary Willa zaszyły mgłą i musiał je szybko przetrzeć, gdy młoda para wykonała własną wersję pocałunku nowożeńców. Wyszedł z ławki i zderzył się z Mary Agnes Carson.

Oboje zeszywnieli na krótką chwilę. Potem spotkali się już na przyjęciu z kieliszkami szampana w dłoniach i znowu nastroszyli wzajemnie. W końcu Mary Agnes nachyliła się do niego i wskazując na Stephanie i Alexa, którzy w dalszym ciągu wydawali się nieświadomi obecności innych ludzi w pobliżu, spytała:

- Dajesz im osiem, czy dziewięć miesięcy?

Will spiorunował ją wzrokiem. - Jeżeli myślisz, że moja córka...

- Och, oczywiście, że twoja córka. Znam też mojego syna. Guzik mnie to obchodzi, ale chcę mieć następnego wnuka. I to szybko!

- Tym razem będzie dziewczynka - powiedział Will.

- Następny chłopak!

Will wyszperał zmiętego dolara w kieszeni. Przybili zakład.

W swoim czasie wygrali oboje.